

Richard Curtis

Notting Hill

Przekład i adaptacja
Grażyna Górską



Pierrot

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

*Dedykuję tę książkę Rogerowi
i Duncanowi, którzy wraz ze mną
pracowali w pocie czoła nad każdą
sceną, dialogami, ujęciami
i oświetleniem;
Francesce, która bez słowa skargi
przepisywała kolejne wersje
scenariusza; mojej siostrze, Belindzie,
która się mną opiekowała; Emmie,
która czytała wszystkie wersje
i wszystko poprawiała;
Scarlet i Jake'owi - którzy zupełnie
słusznie - nie okazywali najmniejszego
zainteresowania moimi zmaganiem
ze słowem.*

Spis treści

9

Od Autora

19

Kilka refleksji Hugh Granta

27

Półowiczne życie

43

Sok pomarańczowy, morele i miód

59

Panna Flintstone

83

„Psiakostka!”

123

Casting

135

„To ona!”

163

Konferencja prasowa

201

Posłowie

Od Autora

Scenariusz tego filmu zacząłem pisać, jak sądzę, przed trzydziestoma laty. Dokładnie mówiąc, trzydzieści cztery lata temu, kiedy miałem siedem lat. Lubilem zasypiać w pogodnym nastroju, toteż wymyśliłem optymistyczną historyjkę, która odgrywała rolę kołysanki odstraszałej złe sny. Powtarzałem ją w myślach każdej nocy. Wyobrażałem sobie, że świętujemy urodziny mojej siostry. Na stole leżą odpakowane prezenty, ale nie ma wśród nich podarunku ode mnie. Siostra nie kryje rozczarowania. „Nie myśl, że zapomniałem. Mam dla ciebie taki drobiazg, popatrz” - mówię. Teatralnym gestem otwieram drzwiczki kredensowej szafki, ukazując siostrze i licznie zgromadzonej rodzinie czterech Beatlesów. Uwolnieni z zamknięcia rozmawiają z nami przez chwilę, potem śpiewają *And I Love Her* i wychodzą. W tym momencie zapadałem w sen, uśmiechając się błogo.

Ta historyjka kołysała mnie do snu przez dwadzieścia pięć lat. Zmieniali się mieszkańcy kredensu, ale fabuła pozostała ta sama. Teraz, kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, że idę na kolację do moich przyjaciół z Battersea - Piersa i Pauli, do których zresztą wpadam prawie co tydzień. Bez wdawania się w szczegóły, lekkim tonem zapowiadam, że przyjdę z dziewczyną, po czym wprawiam ich w osłupienie, przyprowadzając Madonnę. Czasami pojawiaam się w towarzystwie Isabelli Rossellini, ale zwykle z Madonną. Piers otwiera drzwi, rozpoznaje gwiazdę, ale udaje, że jej obecność nie zrobiła na nim wrażenia. Jego żona, Paula, nie ma zielonego pojęcia, kim jest Madonna i zachowuje się normalnie, czego nie można powiedzieć o mojej znajomej, Helen, ta bowiem, spóźniwszy się nieco, reaguje spontanicznie i entuzjastycznie. Odpływam w sen.

Minęło pięć lat. W pierwszym tygodniu zdjęć do „Czterech wesel i pogrzebu”, siedząc w wyiębionej poczekalni lotniska Luton obok drzemiącego Jamesa Fleeta, zastanawiałem się nad następnym scenariuszem. Przypomniałem sobie obydwie historyjki-kołysanki i doszedłem do wniosku, że fabuła oparta na sennym marzeniu jest zupełnie niezłym pomysłem na film. Postanowiłem napisać scenariusz o bardzo zwyczajnym fa-

cecie, który zjawia się na rodzinnej imprezie w towarzystwie bardzo znanej kobiety.

I tak powstał scenariusz „Notting Hill”.

Chcieliśmy nadać sennemu marzeniu cechy prawdopodobieństwa. Scenariusz jest wprawdzie trawestacją znanego motywu bajkowego - choćby tego o królewnie i drwalu - my jednak staraliśmy się przedstawić go tak, jakby wszystko to mogło wydarzyć się naprawdę. Zachowaliśmy współczesne realia, przedstawiliśmy bohaterów na tyle realistycznie, na ile to było możliwe, wystrzegaliśmy się ekliwej muzyki. Pod koniec pisania scenariusza sam zacząłem wierzyć w tę bajkę. Gość, który mimo znajomości z wielką gwiazdą nie traci głowy i pozostaje sobą, wydał mi się bardzo prawdziwy. Mam nadzieję, że widzowie również uwierzą w tę historię - przynajmniej przez godzinę lub dwie.

Rzecz w tym, żeby nie dali się zwieść do końca, prawda bowiem wygląda zupełnie inaczej, co mniejszym ze wstydem wyznaję...

Pewnego wieczora około ósmej zadzwonił znajomy. Pytał, czy może do nas wpaść z Madonną. Właśnie kończą jeść kolację w restauracji w Notting Hill i chcieliby przyjść na drinka. „Wpadnijcie” - powiedziała moja żona, Emma - „nie mamy żadnych planów na wieczór, siedzimy w domu”. Odłożyła słuchawkę i obydwójce wróciliśmy do na-

szych zajęć. Przyjdą to przyjdą, nie ma co robić zamieszania z powodu Madonny.

Kilka minut później Emma udała się na górę. Korzystając z okazji, jednym susem skoczyłem do lustra sprawdzić fryzurę. Przecucie mnie nie myliło - wyglądałem jakby przed chwilą zaaplikowano mi elektrowstrząsę. Błyskawicznie przyczesalem zmierzwione włosy i pędem wróciłem do biurka.

Wcale nie musiałem się śpieszyć, bo z łazienki na górze dobiegł odgłos puszczonej wody. Emma myła głowę.

Przeprowadziłem szybką inspekcję domu, dokonując stosownych korekt. Zdjąłem ze ściany obciachowe zdjęcie i pozmywałem naczynia. Przyciasny sweter z widocznymi plamami po odbekiwaniu naszego potomka zmieniłem na nieco luźniejszy i czystszy.

Emma zeszła na dół. Na moją uwagę, że umyła głowę z powodu Madonny, zaprotestowała stanowczym tonem. Mycie głowy nie ma nic wspólnego z wizytą gwiazdy. Skóra ją swędziała i tyle. A poza tym przyszła zapytać, jak mi idzie praca. „Bardzo dobrze” - odrzekłem.

Kiedy wróciła na górę suszyć włosy, postanowiłem zmienić podkład muzyczny. Grająca cichutko w tle płyta Neila Diamonda wydała mi się mało odpowiednia. Odstawiłem kompakt na półkę

i włożyłem do odtwarzacza Crowded House. Potem Vana Morrisona. Potem Iris Dement, All Saints, Rona Sexsmitha... Wreszcie poddałem się; obejdzcie się bez muzyki.

W tym momencie weszła Emma. Zamiast domowego ubrania miała na sobie kostium. „Dlaczego się przebrałaś?” - zapytałem. „Bez powodu” - odparła. „Prawdę mówiąc, też powinienem się przebrać. Trochę mi w tym niewygodnie” - zauważyłem po namyśle.

Po kwadransie oboje mieliśmy na sobie stroje charakteryzujące się niewymuszoną elegancją. W tym momencie wpadłem w lekką panikę z powodu mojej kolekcji wideo. Co u diabła pomyśli o mnie Madonna, widząc na poczesnym miejscu japońską wersję „Czterech wesel i pogrzebu”! I dwa egzemplarze „Jasia Fasoli” w towarzystwie „Niezbitego dowodu winy”. Jazda z tym! Przez dwadzieścia pięć minut porządkowałem kącik filmowy, wystawiając do pierwszego rzędu kasety z filmami francuskimi, i to nie tymi, które kupiłem wyłącznie z powodu rozbieranych scen z Emmanuelle Beart.

Tymczasem Emma zdążyła przemeblować dom od strychu po piwnice. Zniknęły dywany i wykładziny. Stylowe czarno-białe fotografie, dawno temu zastąpione rysunkami naszej córki, wróciły na swoje miejsca. Nie włączany od roku grzejnik

w łazience na dole pracował pełną parą, drzwi do pralni, która jak sięgnę pamięcią przypominała krajobraz po bitwie, zostały zamknięte po raz pierwszy w historii tego domu, a siedzenia sof i poduszki odzyskały pierwotne kształty, to znaczy nie wyglądały tak, jakbyśmy z braku ciekawszych zajęć spędzili całe życie gapiąc się w ekran telewizora.

Potem wróciliśmy do swoich zajęć. Skapitulowaliśmy po pięciu minutach wewnętrznej walki: ja poszedłem umyć głowę, a Emma zmieniła górę kostiumu na kaszmirowy sweter i, obudziwszy naszego syna, przebrała go w milusią piżamkę. Jednocześnie pajacyk w kotki wydał się jej odrażający.

Tylko zdążyliśmy się z tym wszystkim uporać - przy okazji posprzątaaliśmy kuchnię - gdy rozległ się dzwonek. Za drzwiami stał kurier z przesyłką dla Emmy, scenariuszem, który równie dobrze mogli dostarczyć jutro. Mało nie udusiłem kuriera. Zasiedliśmy na dobre do pracy, stukając pracowicie w klawiatury. Swoją drogą, byłoby bombowo, gdyby zastali nas przy pracy. O lepszym wizerunku nie można marzyć: sumienni, wyluzowani, tacy, co to nie kiwną palcem, żeby się przygotować na wizytę bóstwa, które prosiło tatę, żeby nie prawił jej kazań*.

Aluzja do piosenki *Papa don't preach* w wykonaniu Madonny [przypr. red).

Notting Hill

Pracowaliśmy do pierwszej w nocy, a potem poszliśmy spać - bardzo czyści, z ogromną ulgą i równie ogromnym poczuciem wstydu, że daliśmy się tak nabrać, że przyjęliśmy za dobrą monetę fantazję, o której za chwilę przeczytacie.

*Richard Curtis,
wiosna 1999 roku*

Kilka refleksji

Hugh Granta

w trakcie realizacji „Czterech wesel i pogrzebu”, kiedy ogarniało nas całkowite zwątpienie w sukces przedsięwzięcia (na przykład, kiedy reżyser Mike Newell ciskał kubkiem z kawą przez całą długość parkingu, drąc się przy tym w niebogłosość: „Daliśmy dupy! Daliśmy dupy!”, ja zaś, popadłszy w bliskie katatonii otępienie po obejrzeniu moich popisów aktorskich podczas pierwszej projekcji niezmontowanych jeszcze ujęć, nie byłem w stanie dotrzeć na plan zdjęciowy o własnych siłach), Richard Curtis podnosił mnie na duchu opowieściami o swoim nowym scenariuszu, pełnym zabawnych scen, które już dla mnie wymyślił.

Nadzieją na jego rychłe ukończenie żyłem przez kilka następnych lat, i tylko dzięki niej nie uległem pokusie przyjęcia roli w filmie „Kongo 2”, choć przyznaję, że starałem się znaleźć w nim coś

godnego uwagi. Obiecanki cacanki. Rezygnowałem z kolejnych propozycji, a nowego scenariusza Richarda jak nie było, tak nie było. Doprawdy nie wiem, czy istnieje na świecie człowiek, któremu napisanie prostej komedii romantycznej zajęłoby więcej czasu.

Niektórzy nazywają to perfekcjonizmem. Ja uznałem to za przejaw ogólnego rozmamiania i słałem do Richarda kipiące złością faksy, stanowczo żądając, by przestał się zajmować Rowanem Atkinsonem, kobietą-pastorem skądś tam, własnymi dziećmi, głodującymi ludami Afryki i skupił wreszcie uwagę na mnie.

Kiedy w końcu - po wielu latach - dostałem scenariusz, przeraziłem się nie na żarty, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że był bardzo dobry (zdaniem krytyków, w ostatnim dziesięcioleciu pojawił się tylko jeden równie doskonały); po drugie, że rolę dziewczyny przyjęła Julia Roberts. Podczas pierwszej próby czytanej w Nowym Jorku posypałem się okrutnie. Strach i napięcie nerwowe objawiają się u mnie paraliżem strun głosowych, toteż przez pierwsze dwadzieścia stron moja interpretacja dialogu zdecydowanie odbiegała od zamierzeń autora - na każdą romantyczną lub humorystyczną kwestię Julii odpowiadałem wściekłym warczeniem. Potem nieco się opanowałem, by nie powiedzieć - rozkręciłem i momentami wyda-

wało mi się, że jestem nawet zabawny. Richard nie podzielał mojego entuzjazmu. Twierdził, że podawałem kwestie niewiarygodnie piskliwym głosem i sililem się na wyniosły ton, jednym słowem grałem jak przedszkolak podekscytowany pierwszym występem w telewizji.

Właściwe próby czytane zaczęły się w kwietniu. Odbywały się w sali parafialnej kościoła w Notting Hill, lodowatej, mimo wczesnej wiosny. Ogólnie biorąc, szło nam wspaniale. Aktorzy z brytyjskiej obsady okazali się wprawdzie ździebko za dobrzy jak na mój gust, ale za to wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Julia grała fantastycznie, nie miała w sobie nic z gwiazdy, tyle że okropnie marzła. Żeby nie zemdląca z zimna, przydzielono jej dwóch facetów z gazowymi grzejnikami, którzy nie odstępowali jej na krok.

Jedynym zgrzytem była sytuacja, za którą jestem osobiście odpowiedzialny. Wykombinowałem, że rozbawię towarzystwo, zręcznym chwytem wyciągając Ginę McKee (filmową Belle) z wózka inwalidzkiego. Gina wyszła z tego starcia poważnie poturbowana, na szczęście dla mnie przyjęła to z humorem i zachowała się czarująco.

Równie fantastyczna atmosfera panowała podczas zdjęć. Poza planem działy się rzeczy niesamowite; najbardziej zapadły mi w pamięć takie oto obrazki:

Roger Michell (reżyser) pałący dwa papierosy naraz, z których przedtem pracowicie oderwał filtry, aby zwiększyć dawkę nikotyny wprowadzanej do krwiobiegu. (Tim McInnerny - filmowy Max - twierdzi, że na własne oczy widział, jak schowany za dekoracjami Roger eksperymentował z trzecim papierosem w dziurce od nosa).

Richard i Duncan Kenworthy (zdjęcia) oglądający na monitorze scenę z moim udziałem, którą uważałem za bardzo zabawną i wyśmienicie zagraną. Mieli takie miny, jakby się właśnie dowiedzieli, że wykryto u nich chorobę Creutzfeldta-Jakoba.

Julia (filmowa Anna) wprowadzająca mnie w nastrój zawilej i niebezpiecznej sceny metodą drażnienia moich brodawek sutkowych za pomocą szczypa z zakrętasem oraz winogron rozgniatanych na szyi.

Ja wprowadzający Julię w podobny nastrój. (Bez szczypa z zakrętasem).

Rhys Ifans (filmowy Spike) stanowczo odpierający zarzut ekipy o pojawienie się na planie na rauszu. Podejrzenia miały związek z obiadem w pubie, konsumowanym w towarzystwie Walijczyków statystujących w filmie „Mumia”. Zarzut okazał się nieprecyzyjny. W trakcie kręcenia sceny Rhys wyznał mi całą prawdę, poruszając bezgłośnie wargami: „Stary, jestem zalany w trupa”.

Notting Hill

Ekipa szalejąca z entuzjazmu wokół monitora po moim ujęciu, które ocenilem jako beznadziejne i byłem zdecydowany powtórzyć.

Targające mną uczucia, kiedy okazało się, że monitor przełączono na mecz Anglia-Kolumbia.

Wyśmienita charakteryzatorka, Jenny Shircore, rozplywająca się w zachwytach po przegłądzie niezmontowanych ujęć, choć moje zęby wydawały się nieco żółtawe, a górna warga była praktycznie w zaniku.

Emma Chambers (filmowa Honey) podkładająca mi świnię w scenie z pierniczkiem w sposób skądinąd mało wybredny i nieco infantylny. Rolę świni odegrał tenże pierniczek, podłożony na moje krzesło w stanie lekko przetworzonym.

Julia i Hugh Bonneville (filmowy Bernie) wymieniający się wzorami haftów.

Ja szydzący z niego bez opamiętania.

Życzliwe przyjęcie ekipy przez całą społeczność Notting Hill, z wyjątkiem jednego osobnika, który codziennie pojawiał się na planie, by obrzucać nas jajkami.

W kwestiach samego filmu wolałbym nie zabierać głosu, jako że nic o nim nie wiem. Parę razy próbowałem się dostać na projekcję bieżących materiałów, niestety, bezskutecznie. Moja gwałtowna reakcja podczas filmowania „Czterech wesel i pogrzebu” (wymagająca skorzystania z fachowej

Richard Curtis

pomocy psychologa i zaaplikowania dużych dawek valium) utrwaliła się w pamięci ekipy na tyle, że Duncan i Richard postanowili udaremnić mi wstęp do sali projekcyjnej przy pomocy zatrudnionych w tym celu ochroniarzy.

W swoim czasie zaproszono wprowadzić część obsady na pokaz próbnej wersji całości, nic to jednak nie zmieniło w kwestii mojej wiedzy o filmie, popełniłem bowiem błąd w ocenie swoich możliwości, umawiając się z Rhysem na jednego szybkiego przed projekcją.

Mam nadzieję, że film się spodoba; jestem nawet tego pewny, bo widziałem, jak fantastycznie pracuje Entuzjasta Nikotyny. Jeśli jednak okaże się niedobry, to na pewno nie z powodu scenariusza, ten bowiem jest arcydziełem. Czytam właśnie „Kongo 3”, więc wiem, co mówię. Przekonany, że Wam się spodoba, gorąco zachęcam do lektury.

Połowiczne życie

Piękna, wytworna i tajemnicza. W opinii dziennikarzy - najjaśniejsza gwiazda Hollywoodu. Widywałem ją w telewizyjnych relacjach z planów filmowych, konferencji prasowych i premierowych gali. Spoglądała na mnie z okładek „Newsweeka” i „Marie Claire”. Uśmiechała się promiennie, niekiedy łobuzersko, kiedy indziej nieśmiało, jakby dziwiły ją owacje tłumu wielbicieli, błysk fleszów i światła kamer. Niedostępna, choć sądząc po migawkach z powitania ukochanego, nie pozbawiona cech właściwych zwykłemu śmiertelnikom. Pokazywano ją podczas charakteryzacji, czytającą scenariusz w składanym krzeselku podpisanym jej nazwiskiem - MISS SCOTT i w rozmaitych perukach.

Anna Scott. *She, may be the face I can't forget* - śpiewał kiedyś Charles Aznavour, rozczulająco grasejując. To prawda, takiej twarzy się nie zapo-

mina. Jak to dalej szło? Ta, ta, ta... *She may be the mirror of my dreams* - nie dodać, nie ująć: Anna Scott jest marzeniem każdego normalnego faceta. *But she may not be what she seems...* Czyli co? Tak naprawdę może być zupełnie inna. Ciekawe. Diabła tam, przecież to tylko słowa piosenki. Swoją drogą...

Oczywiście widziałem jej filmy i od początku uważałem, że jest fantastyczna. Podobała mi się ogromnie, jako kobieta i w ogóle... ale nie miałem złudzeń; ona żyje w innym świecie, oddalonym od mojego o lata świetlne. Bo mój świat jest tutaj, to znaczy w Notting Hill, i wcale nie jest najgorszy.

Lubię tę dzielnicę Londynu. Ma typowo angielski charakter, a nawet, zdaniem niektórych, charakterek; niepowtarzalną atmosferę i lokalny koloryt. Jej wizytówką jest Portobello Road, wbrew obiegowej opinii tętniąca życiem nie tylko w soboty i niedziele. W dni powszednie odbywa się tutaj targ owocowo-warzywny, na którym można kupić wszystko, co człowiek zdołał wyhodować. Przy Portobello i w okolicznych uliczkach usadowiły się sklepiki z artykułami specjalistycznymi i wszelkimi osobliwościami. Kto lubi, może sobie wałnąć tatuaż w dowolnej formie. Kiedyś widziałem, jak ze studia wytoczył się łyśawy osiłek ze świeżutkim dziełem sztuki na ramieniu - wielkim czerwonym sercem przeciętym wstęgą z napisem

KOCHAM KENA. Przyglądał się ozdobie lekko zadziwiony; pewnie zażądał usługi w pijanym widzie, a otrzeźwiawszy nieco, nie mógł sobie biedaczysko przypomnieć, kim jest Ken... Jeśli już mowa o osobliwościach, to należałoby do nich zaliczyć fryzjerów z Portobello. Zawsze odznaczali się niekonwencjonalnym podejściem do zawodu, ostatnio jednak zauważyłem gwałtowną radykalizację okolicznych salonów, które masowo produkują fryzury bardziej odpowiednie dla stworków z „Ulicy Sezamkowej” niż ludzi. Patrząc na koafiurę typu „artystyczny nieład w kolorze słodkiego błękitu”, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy jednoznacznego niegdyś zwrotu „prosto od fryzjera” nie należałoby obecnie zaliczyć do oksymoronów. Poza tym podejrzewam, że miejscowi fryzjerzy osiągają artystyczne spełnienie wbrew woli klientek.

W soboty o brzasku na Portobello pojawiają się setki straganów z antykami, wówczas bowiem otwiera się targ staroci. Wyrastają jak spod ziemi, wypełniając całą ulicę, aż do Notting Hill Gate. Targ odwiedzą tysiące kupujących, ma on bowiem ustaloną renomę wśród koneserów na całym świecie; twierdzą, że to jedyne miejsce, gdzie należy kupować antyki. Pewnie mają rację, mimo wszystko radziłbym uważać, bo oprócz autentyków tu i ówdzie trafiają się mniej lub bardziej

udane falsyfikaty. Moim zdaniem wynika to nie tyle z upadku dobrych obyczajów handlowych, ile z zasad marketingu, mówiących o konieczności zaspokojenia różnorodnych potrzeb i gustów. Czym bowiem wytłumaczyć fakt, że obok wiekowych witraży ze scenami biblijnymi wiszą wykonane w identycznym stylu „dzieła sztuki” z bardziej współczesnymi świętymi - Beavisem i Buttheadem.

Oto mój świat. Tutaj, w tej małej wiosce w środku wielkiego miasta, upływają mi dni i lata. Najwspanialsze jest jednak to, że do Notting Hill ściągnęło mnóstwo moich przyjaciół. Ostatnio sprowadził się Tony, niegdyś architekt, obecnie restaurator, żyjący nadzieją na rychły sukces w branży gastronomicznej. Za oszczędności swojego życia kupił lokal przy Golborne Road, wyremontował i z sentymentu dla poprzedniego zawodu przystroił wewnątrz rysunkami dziwacznych budowli. Kiedy nad wejściem zawisł szyld z mało oryginalną nazwą „Knajpa u Tony'ego”, a nowo upieczony gastronom zgłębił tajniki odróżniania łososi pierwszej świeżości od drugiej i trzeciej, z dumą zaprosił naszą paczkę na uroczyste otwarcie.

Tamtego wieczora Tony witał gości na progu. Promieniał szczęściem. Knajpka powoli się zapełniła, robiło się coraz gwarniej. Szczerze życzyli-

śmy Tony'emu sukcesu i wszystko wskazywało na to, że nasze życzenia się spełnią. Przy tak doskonałej lokalizacji - w centrum Notting Hill - na pewno nie zabraknie mu klientów, zwłaszcza że nas mógł od razu zaliczyć do grupy stałych bywalców.

Nasza paczka - cóż za galeria typów! Choć znamy się jak łyse konie, nigdy się nie nudzimy w swoim towarzystwie. A już na pewno nie narzekamy na brak tematów do dyskusji. Otwarcie knajpy Tony'ego było doskonałą okazją do rozwiązania życiowego dylematu.

- Słuchajcie! - Max usiłował przekrzyczeć gwar przy stoliku. - Gdybyście mogli się przespać z osobą dowolnie wybraną spośród mieszkańców naszej planety, kogo byście wybrali? Po kolei. Ty pierwszy, Bernie.

- Eeee..., bo ja wiem? Nooo... myślę, że królową.

- Królową? - zapytałem z niedowierzaniem. Wydawało mi się, że maklerzy mają większą fantazję.

- Tak - potwierdził Bernie zdecydowanym tonem. - Ty myślisz o przyjemności i takich tam dyrdymałach, a ja nie. W każdym razie nie tylko. Nie rozumiecie, że potem można opowiadać... no wiecie - spałem z królową. To musi robić... wrażenie. - Wodził wzrokiem po naszych twarzach, zdumiony, że na nas jakoś nie zrobiło.

- A ty, Honey? - spytał Max.

- Niech pomyślę... - Honey intensywnie wpatrywała się w ścianę tuż nad swoją głową.

- O właśnie. Ja pomyślałem - wtrącił Bernie - i zmieniłem zdanie: królowa matka. Chciałbym się przespać z królową matką.

- Och, zamknij się Bernie - skarciła go Bella, żona Maksa.

- W końcu każdy może powiedzieć, że miał królową, seksualnie znaczy się - Bernie z rozpędu dokończył myśl. - Każdy, oprócz królowej matki - znacząco uniósł do góry wskazujący palec.

Chyba zbyt pochopnie posądziłem maklerów giełdowych o brak fantazji.

- Zdecydowanie Brad Pitt - oświadczyła Honey - z pupą Mela Gibsona.

- A co ci się nie podoba w pupie Brada? - spytałem zaintrygowany.

- Po prostu zbyt rzadko ją oglądałam i nie mam wyrobionego zdania. Mel to co innego; on zawsze chętnie prezentuje widzom swój tyłek... taki słodziutki, jędrny... taki...

- W porządku Honey. Rozumiemy - brutalnie uciął jej szczebiotanie Max. - Teraz Bella.

- Mam już mężczyznę, z którym chciałabym przespać wszystkie noce - odparła, patrząc mu w oczy.

Notting Hill

Honey zahuczwała przeciągle na znak dezaprobaty i pokazała Belli język.

- Ona ma rację. To rzeczywiście chore - powiedziałem zrezygnowany.

- Tak to wygląda z perspektywy zgorzkniałego rozwodnika - odparowała Bella.

W międzyczasie knajpka zapelniła się po brzegi. Ci, dla których zabrakło stolików, oblegali bar. Poszukałem wzrokiem Tony'ego. Wypiął dumnie pierś i wskazując na salę, podniósł kciuk w geście triumfu.

- Will, obudź się - Max szturchnął mnie w łokieć - teraz twoja kolej. Kim jest ta twoja jedyna, wymarzona?

- Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- No, nie psuj nam zabawy - zgaśniła mnie Honey. - A co byś powiedział o mnie?

Bernie drgnął nerwowo, mięśnie twarzy jakby mu nieco stężały.

- Zwariowałaś?! Przecież jesteś moją siostrą!

- Jedno nie wyklucza drugiego. Mogłoby być wspaniale!

- Z pewnością, Honey, ale nam chodzi o sławnych ludzi. Will, masz dwadzieścia sekund do namysłu. - Max spojrzał na zegarek.

- Czy to znaczy, że ty i William... że wy się...
- wybełkotał Bernie, nachylając się do Honey.

- Ty zboczku. Odpiąłeś? Od czasu do czasu robię mu loda, ale to jeszcze nie znaczy, że ze sobą sypiamy.

- Aha, to w porządku. - Berniemu wyraźnie ulżyło.

- No? Czas minął - ponaglał Max. - Któż to taki?

- Nie mam żadnych typów wśród sławnych ludzi, poważnie. Czym się tu zresztą zachwycać? Wszystko jest kwestią dobrego oświetlenia. Bez niego nawet Cindy Crawford wygląda jak mój ojciec.

- Nie zgrywaj się, Will. „Kwestia oświetlenia” - mój ty żałosny pajacu. I tak wiadomo, o kogo chodzi. - Honey spojrzała na mnie z politowaniem.

- O kogo? - spytałem wyzywająco.

- O najpiękniejszą kobietę na świecie, a przy tym moją ulubioną aktorkę.

- Pamelę Anderson? - zaciekał się Bernie.

- Bernie! - syknęła Bella.

- Cóż, uroda może nienajwiększa, za to aktorstwo - znakomite! - ciągnął niezrażony.

- Wyduś to wreszcie, do cholery - gorączkował się Max, poszturchując moją siostrę.

- Anna Scott - wypaliła Honey - uosobienie eleganckiej prostoty, wdzięku i urody, doskonała pod każdym względem.

Cała czwórka wpatrywała się we mnie w napięciu. Inkwizytorzy, psiakostka. A zresztą, co mi tam!

- Tak. Anna Scott. I doskonale to ujęłaś - jest naprawdę fantastyczna...

- Rajska rozkosz dla każdego faceta - sprecyzowała Honey. - A właśnie. Skoro już mowa o Annie Scott, chciałabym o coś zapytać. Tylko proszę o szczerą odpowiedź: czy między nami jest jakieś podobieństwo, jakiegokolwiek?

Honey wyprostowała plecy i, popatrując na nas z ukosa, zademonstrowała najpierw lewy, potem prawy profil. Przytłoczeni ciężarem odpowiedzialności, w milczeniu gapiliśmy się na jej raczej wylupiaсте oczy, na lekko wysuniętą górną szczękę (efekt ssania kciuka do późnego dzieciństwa), na włosy w kolorze przybrudzonej słomy. Werdykt nie był łatwy, ale jakiś musieliśmy w końcu wydać.

- Obydwie macie uszy - zawyrokował Max.

Mieszkam przy małej przecznicy nieopodal Portobello, w środkowym ze stojących w szeregu jednopiętrowych segmentów. Bardzo wąskim, ale za to z tarasem na dachu. Czy to z powodu specyficznego gustu, czy też z chęci wyróżniania się spośród tłumu, poprzedni właściciel pomalował fronton na szafirowo, podkreślając jaskrawy kontrast z dwoma sąsiednimi: brudnożółtym po pra-

wej i białym, upstrzonym tagami po lewej. I tak już zostało. Segment kupiliśmy z moją byłą żoną, to znaczy zanim rzuciła mnie dla klona Harrisona Forda, tyle że bardziej przystojnego...

Nadeszła wiosna. Wyskoczyłem do piekarni po chleb... Aha, zapomniałem powiedzieć, że obecnie zajmuję połowę domu, wiodąc przedziwnie połowiczne życie z sublokatorem. Z postury i ruchów przypomina Donalda Sutherlanda z okresu „Parazywej dwunastki”, a pod względem ekscentryczności dorównuje postaci Świra, wykreowanej przez tegoż Sutherlanda w „Złocie dla zuchwałych”. Każe na siebie mówić...

- Spike! A żeby go pokręciło... - Podniosłem porzucony w przejściu rower i roztarłem kolano. Mam trzydzieści pięć lat, ale do dziś pamiętam wpojona w dzieciństwie zasadę, że rower należy stawiać przy ścianie. Może nie zawsze jej przestrzegam, ale to inna sprawa. Swoją drogą, trzeba by kiedyś uprzątnąć z korytarza wszystkie niepotrzebne sprzęty. W tej kiszce trudno swobodnie minąć drugą osobę bez narażenia się na uszkodzenie ciała.

- Spike!

- Czego się drzesz? Kolanko boli? No to jesteśmy kwita. Nie mogłem się ciebie doczekać. Musisz mi pomóc w podjęciu niezwykle ważnej decyzji, dobra?

Stał przede mną w samych gatkach. Ich cielisty kolor uwydatniał monochromatyczną tonację postaci. Rzadkie blond włoski, wąsiki, fryzura jak po stryżeniu sekatorem, mizerna bródka, okalająca pociągłą twarz i niespotykane blade ciało. Wbrew obowiązującym trendom Spike nie gustował w opaleniźnie, nigdy nie wystawiał się na działanie promieni słonecznych. Moim zdaniem wynikało to albo z wybujałego indywidualizmu, albo stanowiło wrodzoną cechę Walińczyków, zwłaszcza tych z nieprawdopodobnym akcentem.

- Czy twoja decyzja jest równie ważna jak, dajmy na to, kwestia umorzenia długów krajów Trzeciego Świata? - spytałem zaintrygowany.

- Co najmniej. Ta fantastyczna laska, Janine, w końcu mi uległa. Umówiliśmy się na wieczór i chciałbym wystąpić w odpowiednim stroju. Będziesz moim konsultantem.

- Jaki mamy wybór?

- Poczekaj. - Spike pobiegł na górę. Włożyłem dwie kromki chleba do opiekacza, wyjąłem z lodówki masło i...

- Zacznijmy od tego. - Patrzył na mnie wyczekująco.

W monochromatycznej tonacji pojawił się zgrzyt, coś jakby zapowiedź studium kontrastu w konwencji nawiązującej do klasyków współczesnego kina grozy. Spike miał na sobie białe

podkoszulek. Z krwawej plamy na piersiach wystawała wąska plastikowa głowa monstrum z rozwartą paszczą, w której dało się zauważyć charakterystyczne dla gatunku uzębienie. Całości dopełniał napis, rozwiewający ewentualne wątpliwości: KOCHAM KREW.

- Czaderski, no nie? - zapytał z dumą.

- Nawet bardzo. Zastanawiam się tylko, czy nie popsuje ci szyków, bo jego estetyka nieco utrudnia stworzenie prawdziwie romantycznego nastroju.

- Racja. Spróbujmy inny, na pewno ci się spodoba - zapewniał, biegnąc na górę.

W sekundzie był z powrotem w białym podkoszulku z wielką czarną strzałą, wskazującą na rozporek. ZNAJDZIESZ TO TUTAJ - głosił ogromny napis.

- Daj spokój. Janine może pomyśleć, że zależy ci tylko na seksie, a nie na prawdziwej miłości.

- Uchowaj Boże, nie możemy do tego dopuścić. Dobra, jeszcze tylko jeden.

Patrzyłem wyczekująco na górny podest. Po chwili pojawił się Spike i z niewinną miną zszedł po schodach krokiem modelki. Prawy górny róg zdobiły czerwone serca - największe przebijała strzała. Pozostałą część przodu podkoszulka zajmowało romantyczne wyznanie: JESTEŚ NAJPIĘKNIEJSZĄ KOBIETĄ NA ŚWIECIE.

- Ten jest w sam raz. Doskonały wybór.

Notting Hill

- Dzięki. Ekstra. Życz mi szczęścia. - Uśmiechnął się szelmowsko, błyskając srebrnymi koronkami na lewej górnej jedyńce i prawej dwójce.

- Życzę ci... - Spike ruszył dostojnym krokiem na górę - ...szczęścia - dokończyłem słabnącym głosem.

Jak na mój gust, projektant podkoszulka był za bardzo dociekliwy. Nawet bez okularów nie miałbym problemu z odczytaniem pytania wydrukowanego na plecach: MASZ OCHOTĘ NA JEBANKO?

Na śniadanie Spike wszedł lekko utykając. Początkowo sądziłem, że to skutek szalonych tańców. Prawda okazała nad wyraz brutalna: utykanie miało związek z obcasem Janine, który wszedł w kontakt ze stopą Spike'a po tym, jak zupełnie mu obca dziewczyna przytuliła się do niego, mruczając namiętnie, że „ma ochotę, i to zaraz”.

**Sok pomarańczowy,
morele i miód**

Ta mta środa nie różniła się od innych dni. Wstałem o normalnej porze, jak zwykle poszedłem do pracy przez targ, dojadając po drodze ostatnią kanapkę ze śniadania. Nie pamiętam, o czym myślałem, ale z pewnością nie o tym, że ten dzień na zawsze odmieni moje życie.

Pracowałem o rzut beretem od domu, przy Portobello. W firmie o szumnej nazwie The Travel Book Company, a mówiąc po prostu - w księgarni z przewodnikami i poradnikami dla turystów, której byłem jednocześnie kierownikiem i właścicielem. Podwójna rola wpędziła mnie w permanentny stres, jako że wiele pozycji z oferty firmy, delikatnie mówiąc, nie spełniało kryteriów uznawanych w branży turystycznej za standard.

Dziwnym zrzędzeniem losu miejsce pracy przypominało mój dom. Mam na myśli zbliżony, na szczęście łagodniejszy w tonacji, granatowy kolor

frontonu, nieporządek tu i ówdzie - zwłaszcza w kąciaku z reklamami i moim miniaturowym kantorku, a także mojego pracownika, Martina. Wprawdzie nie dorównywał Spike'owi, ale z powodu wrodzonego optymizmu i nienaganych manier potrafił być równie upierdliwy. Dodam jeszcze, że nieco chaotyczna aranżacja wnętrza, podzielonego za pomocą regałów na małe pokoiki, zmusiła mnie do zainstalowania systemu telewizji przemysłowej.

Martin już otworzył sklep; w oknie paliło się światło, a na zewnątrz stała ława z przecenionymi książkami. Zachwyciłem się wesolutkim dźwiękiem dzwonka zawieszzonego nad drzwiami, wyrównałem ogłoszenia reklamowe i ruszyłem do kantorka. Po niecałej godzinie pracy nad księgami przychodów i rozchodów wpadłem w ponury nastrój. Podejrzywałem, że interes kuleje, ale nie sądziłem, że jesteśmy blisko upadku.

- Typowe. Absolutna klasyka gatunku. Po ostatniej kampanii marketingowej nasz zysk wynosi minus 347 funtów - powiedziałem grobowym głosem, pukając w zestawienie bilansowe.

- Nic lepiej nie koi bólu niż gorące cappucino. Przynieść? - spytał usłużnie Martin.

- Nie stać mnie na całe. Może być połowa.

- Porażająca logika. Pół cappucino, raz - zasałutował i wybiegł, przepuszczając w drzwiach

klientkę. Wróciłem do bilansu. Kiedy kolejny raz bezmyślnie błądziłem wzrokiem po księgarni, dotarło do mnie, że widzę coś znajomego...

- Może mógłbym coś doradzić? - spytałem, podchodząc do klientki.

Czarny beret nasunięty na czoło, ciemne okulary, czarny skórzany żakiet, biała bluzka, czarna minispódniczka, czarno-białe tenisówki, w ręku biała, błyszcząca torba ze znakiem firmowym eleganckiego sklepu. Ogarnąłem to wszystko w jednej sekundzie. Jeśli to miał być kamuflaż, to stanowczo za słaby. W każdym razie mnie nie zmylił. Rozpoznałem Annę Scott.

- Dziękuję. Chciałam się tylko rozejrzeć - powiedziała uprzejmie, ale z wyraźnie wyczuwalnym chłodem.

- Bardzo proszę. - Podeszedłem do stolika z kasą.

Zdjęła z półki pięknie wydany album.

- Nie polecam tej pozycji - oczywiście, gdyby miała pani zamiar go kupić, a nie tylko przejrzeć. Pieniądze wyrzucone w błoto.

- Tak pan sądzi?

- Poważnie. Proszę wziąć to.

Ze stosu przy kasie wyciągnąłem niepozorną książeczkę w błękitnej okładce.

- Autor tego dziełka z pewnością podróżował po Turcji, co, przyzna pani, nie jest bez znaczenia.

Poza tym bardzo obrazowo opisał zabawną przygodę z kebabem.

- Dziękuję. Zastanowię się. - Wciąż ta sama uprzejma rezerwa.

Odkładając książkę, rzuciłem okiem na monitor.

- Przepraszam panią na chwilę - powiedziałem pośpiesznie i skierowałem się w stronę pokoiku odgradzonego od nas regałem.

- Pan wybaczy - zagadnąłem młodego człowieka, oglądającego książki.

- Słucham. O co chodzi? - odrzekł buńczucznie.

- Mam dla pana niespodziankę.

Popatrzył na mnie z ukosa.

- Jaka?

- W tym pomieszczeniu jest kamera.

- I co z tego?

- A to, że widziałem, jak pan chował książkę pod koszulę.

- Jaka książkę? - prychnął zniecierpliwiony i odwrócił się do regału.

- Tę, którą ma pan pod koszulą, zatkniętą za pasek od spodni.

- Nie mam tam żadnej książki.

- Cóż, widzę, że wspólnymi siłami do niczego nie dojdziemy. Moja propozycja jest taka: zadzwonię po policję i jeśli moja wersja się nie potwierdzi, z góry pana przepraszam.

Notting Hill

- Dobra. Założmy, że mam książkę. Co wtedy?
- Popatrzył na mnie z ciekawością.

- Jest idealne rozwiązanie. Ja wrócę do kasy, a pan wyjmie zza paska przewodnik Cadogana po Bali, wygładzi i odłoży na miejsce, albo pan za niego zapłaci.

Kiedy wróciłem, Anna przeglądała poleconą przeze mnie książkę, zerkając co chwila na obraz w monitorze. Młody człowiek odstawił książkę i ruszył do wyjścia.

- Przepraszam - zwróciłem się do Anny.
- Drobiazg. Sama miałam ochotę coś zwinąć, ale po tym mi przeszło. - Wskazała na monitor.
- Widzę, że autor podpisał ten egzemplarz.
- Podobnie jak prawie cały nakład. Nie mogliśmy go powstrzymać. Niepodpisane egzemplarze osiągają zawrotne ceny.

Uśmiechnęła się. Nagle, ni stąd ni zowąd, przy kasie pojawił się niedoszły złodziej.

- Przepraszam panią, czy mogę prosić o autograf - wybąkał nieśmiało, podając Annie wymięty skrawek papieru.

- Jak panu na imię?
- Rufus.
Położyła kartkę na książce i szybko coś napisała.
- Proszę.
- Co tu jest napisane? - Rufus nachylił kartkę do światła.

- To mój podpis, a nad nim dedykacja: „Drogi Rufusie, powinieneś być tam, gdzie twoje miejsce - w więzieniu”.

- Podoba mi się. Mogę dać pani swój numer, chce pani?

- Kusząca propozycja, ale raczej nie skorzystam.

Rufus nie nalegał. Ukłonił się i wyszedł.

- Jednak wezmę tę. - Anna podała mi album i dwudziestofuntowy banknot.

- Jasne. W zasadzie nie jest zupełnie do kitu. Powiedziałbym, że pod pewnym względem to arcydzieło. Nie epatuje czytelnika głupawymi historyjkami o kebabach, które można znaleźć w pierwszym lepszym przewodniku. Żeby pani mogła porównać, dorzucę jeden z nich za darmo - paplałem, wkładając do firmowej torby dziełko podpisane przez autora - papier zawsze się przyda. A to do rozpalania kominka, a to do pakowania ryb.

Patrzyła na mnie z lekkim uśmiechem.

- Bardzo dziękuję.

Podąłem jej torbę i patrzyłem, jak odchodzi z mojego życia. Na zawsze, niestety, westchnąłem. Z zamyślenia, w które często popadam, wyrwał mnie chwilę później Martin.

- Cappucino, takie jak chciałeś.

- Dzięki. W życiu nie zgadniesz, kto tutaj był.

- Kto? Gadaj. Ktoś znany?

Rozmyśliłem się. Byłem w końcu człowiekiem dyskretnym, jak podobno wszyscy Anglicy.

- Nie, nikt. Nikt. - W milczeniu siorbaliśmy kawę.

- Swoją drogą, byłoby fajnie, gdyby przyszedł do nas ktoś bardzo znany, jakaś sława. A wiesz, to zabrzmiałoby niewiarygodnie, ale raz widziałem żywego Ringo Starra. W każdym razie dałbym głowę, że to był Ringo. A może ten facet ze „Skrzypka na dachu”, jak mu tam, Toppy - ekscytował się Martin.

- Topol.

- O właśnie, Topol.

- Ringo Starr w ogóle nie jest podobny do Topola.

- No nie jest... Właściwie, to widziałem go z bardzo daleka - przyznał Martin ze smutkiem.

- Może to nie był ani jeden, ani drugi.

- Może... pewnie tak.

- Martin, nie robisz mnie w konia, prawda? To nie był jeden z tych klasycznych dowcipów, znanych wszystkim oprócz mnie?

- Coś ty, daleko mu do klasyki - powiedział, dopijając kawę.

- Masz ochotę na drugą? - zapytałem.

- Tak. Nie - poczekaj. Jak szaleć, to szaleć - poproszę o sok pomarańczowy.

Ilekróć w pracy nękał nas głód lub pragnienie, korzystaliśmy z niewielkiego baru mieszczącego się tuż za rogiem, przy Westbourne Park Road. Od biedy moglibyśmy wydzielić kącik kawowy w księgarni - wystarczyło tylko wyrzucić zbędne szpargały - ale perspektywa nawet tak krótkiego spaceru była nad wyraz nęcąca. Zwłaszcza wiosną i latem, kiedy właściciel baru zakładał przed wejściem małą gaj, czyli wystawiał rozmaitej wielkości rośliny doniczkowe i kilka stolików. Widok zieleni koił nerwy stargane pracą i dawał odpoczynek oczom.

Kupiłem kubek soku pomarańczowego dla Martina, sobie zaś słodką bułeczkę. Spojrzałem przelotnie na kwiaty i skręciłem w Portobello.

To stało się dokładnie na rogu. Plastikowy kubek wystrzelił z mojej ręki jak z katapulty, oblewając sokiem mnie i dziewczynę. Trudno powiedzieć, kto na kogo wpadł, wyglądało na to, że nasze wyjście zza rogu było idealnie skoordynowane w czasie. Tyle że każde szło w przeciwnym kierunku. Mojej koszuli nie dało się uratować - żółta plama pokrywała prawie cały przód. Podniosłem oczy na dziewczynę i zamarłem. Stałem oko w oko z Anną Scott, dla ścisłości - ze wściekłą Anną Scott. Jej biała bluzka wyszła z kolizji niewiele lepiej niż moja błękitna koszula, zwłaszcza w okolicach biustu.

- Na miłość boską! - krzyknęła przerażona. Usiłowała strzepnąć rękami ciekący po bluzce sok, w czym wydatnie przeszkadzały jej torby z zakupami.

- Przepraszam, zaraz pani pomogę. - Musnąłem bluzkę serwetką.

- Co pan robi?! - Odskoczyła jak oparzona.

- Nic, zupełnie nic... musi pani to sprać, natychmiast. Mieszkam o kilka kroków stąd, może to pani zrobić u mnie.

- Dziękuję, nie skorzystam. Wolę zadzwonić po mój samochód.

- Może to pani zrobić ode mnie z domu. Wszystko nie potrwa dłużej niż pięć minut, przysięgam. Raz-dwa spierze pani plamę i pójdzie z powrotem na ulicę... to znaczy... nie w celach uprawiania prostytutki... uchowaj Boże!... ja... - Czyniłem ogromne wysiłki, by mój wywód brzmiał logicznie i rzeczowo. Daremny trud - widok piersi, wyraźnie rysujących się pod moką bluzką, tak mnie rozpraszał, że co chwilę traciłem wątek. Początkowo słuchała mojego bełkotu z kamienną twarzą, po chwili jednak rysy złagodniały, a w oczach pojawiło się zainteresowanie.

- Dobrze. Tylko niech pan sprecyzuje pojęcie „kilka kroków stąd” - może być w metrach.

- Osiemnaście metrów. Tamto szafirowe, to mój dom. - Pokazałem palcem.

Jednym rzutem oka oceniła odległość i bez słowa ruszyła we wskazanym kierunku.

W domu panował bałagan większy niż zwykle. Mój sublokator najwidoczniej ewakuował się w strasznym pośpiechu i zapewne z tego powodu zignorował polecenie wypisane wołami na tablicy: SPIKE! POSPRZĄTAJ!. Anna stała w korytarzu; estetyka wnętrza jakby ją nieco przytłaczała. Poszedłem przodem, uprzątając, co się dało. Dyskretnie wkopałem pod schody rozdeptane buty, upchnąłem do schowka rozmaite części garderoby i zakryłem jakimś czystym gałganem obrzydliwie wypaloną deskę do prasowania. Weszliśmy do pomieszczenia służącego za kuchnię i jadalnię.

- Straszny tu nieporządek - bąknąłem, wrzucając do zlewu brudne naczynia.

Odłożyłem torbę z książkami na krzesło i poprowadziłem ją na górę.

- Tutaj jest łazienka, a telefon w pokoju obok, na biurku.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, rzuciłem się do porządków. Zwijąłem się jak w ukropie. Wyrzuciłem do kubła resztki wczorajszej pizzy i pozmywałem naczynia. Kiedy kończyłem wycierać stół, z łazienki wyszła Anna. Pod skórzanym żakietem miała komplet z czarnej tkaniny naszywanej cekinami; półgolf, kończący się tuż pod biu-

stem, i minispódniczkę. Tenisówki zostały te same. Wyglądała olśniewająco.

- Może napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję.

- To może kawy?

- Nie.

- Soku pomarańczowego?... Eee... lepiej nie ryzykować. Otworzyłem lodówkę i teatralnym gestem wskazałem Annie zawartość. Stałem obok, więc nie od razu zrozumiałem, co ją tak zdziwiło. Bałwan! - w myślach puknąłem się w czoło - musiałem zupełnie stracić głowę, skoro zapomniałem, co zwykle znajduje się w naszej lodówce.

- Mogę pani zaproponować jakiś inny zimny napój - ciągnąłem zdesperowany na widok kilku butelek i niewielkiego słoiczka. - Colę, wodę mineralną, obrzydliwie słodki napój, nie wiedzieć czemu nazywany sokiem z leśnych owoców?

- Naprawdę bardzo dziękuję. - Uśmiechnęła się blado.

- Mam jeszcze coś do pogryzania - morele w miodzie. Konia z rzędem temu, kto wie, po co zalano je miodem. Przez to tylko tracą swój naturalny aromat i smakują jak miód, a przecież żeby zjeść miód nie trzeba kupować moreli, tylko miód. Tak czy inaczej, jeśli pani ma ochotę, proszę się częstować.

- Nie, dziękuję.

Richard Curtis

- Czy na każde pytanie odpowiada pani „nie”?
Milczała dłuższą chwilę, patrząc mi prosto w oczy.

- Nie... Na mnie już czas. Dziękuję za pomoc.

- Drobiazg. Było mi bardzo miło, powiedziałbym... bosko - wyjąkałem z niejakim trudem. - Musiałem to powiedzieć teraz, bo po przeczytaniu tej okropnej książki, nigdy już pani nie przyjdzie do mojej księgarni.

- Dziękuję. - Znowu się uśmiechnęła.

- Ależ, naprawdę nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

Odprowadziłem ją do drzwi.

- Miło było panią poznać. Surrealnie, ale miło.

Pozegnaliśmy się niezdarnie, jak dwoje młodych ludzi po pierwszej randce. Zostałem sam. Oparłem się o drzwi kompletnie wykończony.

„Surrealnie, ale miło"... Skąd mi się to wzięło? Nie doszedłem do kuchni, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Co jest?... Ooo... - Na progu stała Anna. W pełnym kamuflażu. - Zapomniała pani czegoś?

- Tak, torby z zakupami.

- Proszę wejść, zaraz przyniosę. - Pobiegłem do kuchni.

- Dziękuję. No to... - Zastygła z ręką wyciągniętą po torbę.

Staliśmy w wąskim korytarzu. Nasze ciała prawie się dotykały. Wypadało powiedzieć coś miłego na pożegnanie, ale bałem się, że znowu palnę jakie głupstwo. Anna uniosła rękę, pochyliła się do przodu i pocałowała mnie w policzek. Przytuliłem ją i trwaliśmy tak przez chwilę. Ocknęliśmy się prawie jednocześnie. Udawała, że nic się nie stało, ja byłem zbyt oszołomiony, by cokolwiek udawać. Wygladziła torby i wolno ruszyła w kierunku drzwi.

- Przepraszam za to „surrealnie, ale miło”. Doprawdy nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

- Wybaczam, zresztą to wcale nie było najgorsze. Moim zdaniem prawdziwe dno osiągnąłeś bredząc o morelach w miodzie.

W zamku zazgrzytał klucz.

- O Boże! Tylko tego brakowało. To mój sublokator. Z góry za niego przepraszam, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Spike rzucił zdawkowe „cześć” i poczłapał prosto do kuchni, z lubością zaciągając się papierosem. Był jakiś zmarnowany i bardziej nieobecny niż zwykle. Chyba nawet nie zauważył Anny, w każdym razie nie zareagował na jej głos. Na szczęście wyglądał w miarę przyzwoicie. Wprawdzie spodnie od dresów zwisały tu i ówdzie, a brązowy sweterek nie sięgał pępka, ale jak na Spike'a, to i tak nie najgorzej.

Richard Curtis

- Opowiem ci bombową historię - mówię ci, jaja jak berety - tylko najpierw wrzucę coś na ruszt - dorzucił enigmatycznie, nie odwracając głowy.

- Nie rozpowiadaj o naszym spotkaniu - szepnęła Anna, w jej spojrzeniu czaił się niepokój.

- Dobra. Będę milczał jak grób. Czasami powiem tylko sobie, ale i tak nie uwierzę.

- Pa. - Ścisnęła mnie za rękę i już jej nie było.

W kuchni Spike wąchał zawartość plastikowego kubeczka. Łyżeczką z resztkami białawej substancji zdążył już zaświnić prawie cały blat stołu.

- Ten jogurt jest zepsuty - skonstatował z niesmakiem.

Zerknąłem na kubeczek.

- To majonez.

- Niech ci będzie - zaczerpnął pełną łyżkę i wsadził do ust. - Masz ochotę na wideo? Możemy sobie dziś wieczorem zrobić seansik. Przyniosłem kilka klasycznych hitów. Faj - skrzywił się z niesmakiem, oblizując wargi - ależ to pasakudstwo.

Panna Flintstone

Nosiło mnie niemiłosiernie. Wróciłem do księgarni, ale zaraz z niej wyszedłem, zostawiając Martina na gospodarstwie. Nie miałem głowy do ujemnych zysków, a kipiący optymizm mojego pracownika już po kilku minutach wpędził mnie w czarną rozpacz. Skołatanе nerwy zwykle koilem u przyjaciół z mojej paczki, zwalając się im na kark bez zapowiedzi. Sesje terapeutyczne odbywałem indywidualnie, to znaczy nękałem każde z nich z osobna, albo grupowo - jeśli akurat spotykałem wszystkich w tym samym miejscu. U Maksów nikt nie otwierał, znaczy - poszli w miasto. Od wypadku Belli, po którym poruszała się na wózku inwalidzkim, Max wyciągał ją na kolacje poza domem, kiedy tylko mógł. A skoro wszyscy prowadziliśmy kampanię wspierania naszego ulubionego biznesmena, wiedziałem, że zastanę ich u Tony'ego.

W knajpce pachniało sukcesem. Wszystkie stoliki zajęte, bar obleżony; z głębi dobiegała skoczna muzyka - to któryś z gości przygrywał z wprawą na pianinie. Z trudem przecisnąłem się do stolika, przy którym moi przyjaciele raczyli się specjałami kuchni Tony'ego i włoskim winem.

- Co ta ja chciałem?... - zagadnąłem, kiedy Honey skończyła zwierzenia o nowo poznanym chłopaku. - Aha. Potraficie dochować tajemnicy? Niech każdy odpowie za siebie.

- Zdecydowanie tak - Max nie namyślał się ani sekundy.

- Zdecydowanie tak - zawtórowała Honey.

- Zdecydowanie nie - rzucił bez namysłu Bernie.

- Bernie! - Bella uderzyła dłonią w stół.

- Jakby tobie ludzie codziennie mówili tyle rzeczy, co mnie, też byś nie spamiętała, co trzeba zachować w tajemnicy, a co nie - poskarżył się Bernie płaczliwym tonem.

- On ma rację. Każdy w końcu wypaple największy sekret - stwierdziłem, konstatuując z niesmakiem, że dotyczy to również mnie. Bądź co bądź obiecałem Annie dyskrecję.

- To chwyt poniżej pasa! - nie dawała za wygraną Honey.

- Daj spokój. Tylko żartowałem. Doskonale wiecie, że nie mam żadnych tajemnic.

- Czyżby? A ta dziewczyna na Krecie? - przypomniał sobie nagle Max.

- Jaka dziewczyna na Krecie? - zainteresowała się Bella.

- No właśnie: jaka? I do tego na Krecie? Przecież ja nigdy tam nie byłem.

- Jeśli nie liczyć wakacji na Krecie - metodycznie ustalał fakty Max.

- Jeśli tego nie liczyć - przyznałem zrezygnowany.

- I właśnie wtedy wdałeś się w romans z jakąś dziewczyną - uściśliła Bella.

- Wszak każdemu z nas zdarza się raz w życiu pobłądzić - wysnęło mi się może zbyt górnolotnie.

- Czy w twoim przypadku „raz” odnosi się do dziewczyny na Krecie, czy do afery ze szkolnym kolegą? - włączył się Bernie.

- Dobra. Zmieńmy temat. Bernie, co tam słychać w pracy? - spytałem.

- Dziękuję, fantastycznie. Wciąż noszę garnitur i nie mam bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Bernie wyraźnie się ożywił; uwielbiał robić z siebie gamonia, który przypadkiem zabląkał się na londyńską giełdę, co przy jego oczach spaniela i wiecznie zatroskanej minie wywoływało komiczny efekt.

Richard Curtis

- Bomba. Max, Bella - żadnych wieści z frontu walki o potomstwo? Jako przyszli rodzice chrześni zaczynamy się już niecierpliwić.

- Szczerze mówiąc, to trudniejsze, niż się wam wydaje. - Bella wtuliła głowę w ramiona.

- Co jest trudniejsze? - spytałem lekkim tonem.

- Zajście w ciążę - powiedziała cicho.

- Przepraszam - pogłaskałem jej dłoń - nie wiedziałem...

- Skąd mogłeś wiedzieć? Nikt nie wie. Zresztą, to przecież żaden sekret... mówią nam, że trzeba próbować... no to próbujemy.

- Koszmar nie do opisania. Przez ostatnie trzy miesiące nic tylko biegam do ambulatorium, żeby oddać krew do analizy, punkt szesnasta wpadam do domu, żeby się kochać z moją żoną, a w przerwach muszę się onanizować do próbek - żalił się Max.

- Dobry Boże! Cóż za okropne życie - westchnął Bernie i popadł w zamyślenie.

- Nieważne. Wróćmy do tajemnicy Williama.

- To naprawdę nic takiego. Powiem wam, jak będę bardzo stary. Szczęki wam opadną.

- Max, a jak wpadasz do domu o czwartej po południu, to Bella naprawdę chce się z tobą kochać? - Berniemu najwyraźniej coś się nie zgadzało w analizie okropnego życia Maksów.

Notting Hill

- No.

- O cholera. Tacy to pożyją.

Nasyciwszy ciało, byłem gotowy do uczty duchowej. Obiecany przez Spike'a seans wideo zaczęliśmy od czarno-białej komedii romantycznej w stylu Woody'ego Allena - „Gramercy Park” z Anną Scott i jej równie sławnym partnerem filmowych, Michaeliem Derrym. Niecierpliwie czekałem na ulubioną scenę w galerii malarstwa abstrakcyjnego. Idealnie białe wnętrze, na ścianie sporych rozmiarów obraz o bliżej nieokreślonej treści. Anna wchodzi w kadr. Jest ubrana na czarno: w obcisłe spodnie i przylegający do ciała sweterek. Dla kontrastu reżyser kazał jej grać w blond peruce. Ogląda obraz, przyciskając do piersi katalog. Pojawia się Michael - w czarnym stroju, przypominającym trykoty tancerzy baletowych, i czarnym cylindrze. Stanowią doskonałą parę, ale wyczuwa się między nimi napięcie. Anna jest smutna. Siadają na ławeczce przed obrazem. „Uśmiechnij się” - prosi Michael. „Nie” - odpowiada Anna. „No uśmiechnij się”. „Tak bez powodu?”. „Za siedem sekund poproszę, żebyś za mnie wyszła” - mówi Michael. Mija kilka sekund i - Anna się uśmiecha. Bosko!

- I pomyśleć tylko, że gdzieś na świecie jest facet, któremu ona pozwala się całować - rozmarzył się Spike.

- Taak, fantastyczna kobieta, fantastyczna.

Nazajutrz w księgarni nie było wielkiego ruchu. Martin obsługiwał kogoś w pokoiku za regałem, a ja gapiłem się przez okno. Z zamyślenia wyrwał mnie klient - schludny facecik w garniturze z kamizelką, z przewieszonym przez ramię płaszczem.

- Czy dostanę coś Dickensa? - zagadnął od progu.

- Przykro mi, sprzedajemy tylko przewodniki.

- Ach tak. To może najnowszy thriller Johna Grishama?

- Nie, on również pisze powieści - wyszczałem przez zęby.

- Racja. A może ma pan „Kubusia Puchatka”?

- Martin! Zajmij się panem.

Wtem w księgarni pociemniało. Zawsze się tak dzieje, kiedy ulicą przejeżdża autobus. Odwróciłem się do okna i zamiast czerwonej karoserii zobaczyłem twarz Anny powiększoną do gigantycznych rozmiarów. Kampania reklamowa nabierała rozpędu, cały Londyn był oblepiony plakatami z jej najnowszego filmu „Helisa”. Przedtem na billboardach widziałem to, co wszyscy - wielką gwiazdę, celuloidową boginię i obiekt westchnień licznych wielbicieli, teraz Anna stała się realną osobą, kobietą, którą przez kilka sekund trzymałem w objęciach.

* * *

Spike się kiedyś doigra. Na skutek wypadku z sokiem pomarańczowym popadłem wprawdzie w otępienie, ale daleko mi do kompletnej demencji. To i owo jeszcze do mnie dociera.

Któregoś dnia wróciłem do domu w minorowym nastroju. Po cichu liczyłem, że Anna zajrzy do księgarni albo zadzwoni, a tu nic - cisza. W korytarzu panował bałagan, a więc mój sublokator też już ściał do domu. Zebrałem kilka sztuk brudnej odzieży i w tym momencie ujrzałem go na schodach. W mojej piance do nurkowania! Nawet maskę założył sobie na łeb, palant! Specjalnie wyprofilowana wypustka, którą zapina się górę, przekładając ją w kroku na przód, dyndała z tyłu jak zdegenerowana poła fraka. Z doskonale obojętną miną podszedł do lodówki. Na moment odjęło mi mowę, choć obiektywnie rzecz biorąc, wolałem Spike'a w krwistoczerwonej kurtce i czarnym kombinezonie niż w cielistych gatkach.

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego się tak ubrałeś?
- spytałem, nalewając sobie herbaty.

- Jakby ci tu powiedzieć? Złożyło się na to kilka czynników. Pierwszy - brak czystej odzieży...

- Będiesz go odczuwał, dopóki nie zrozumiesz, że brudne rzeczy należy do czasu do czasu prać.

- Racja. Błędne koło - sam widzisz. Idźmy dalej: grzebałem w twoich rzeczach i znalazłem

to. Spodobało mi się. Odlotowy ciuch. Powiedziałbym - kosmiczny.

Słońce stało jeszcze wysoko, więc na poobiednią sjęstę przenieśliśmy się na taras. Miejsce nie wyglądało zachęcająco, ot, kawałek dachu z parą krzeseł i stolikiem ogrodowym. W przyplywie tęsknoty za wyższymi doznaniem estetycznymi ustawiliśmy po bokach rośliny doniczkowe, jednak z powodu wadliwej koordynacji prac pielęgnacyjnych, z kwiatów zostały suche badyle. Niedostatki wystroju z nawiązką rekompensował widok z tarasu - wspaniała panorama Londynu.

Wygodnie usadowiony w plastikowym foteliku pograżyłem się w lekturze najnowszego numeru „Księgarza”. Spike zdjął piankową bluzę i rozwalony na murku podziwiał panoramę.

- Coś się stało z twoją maską. Szklą jakies dziwne.

- Są w porządku; kazałem wstawić optyczne, żebym mógł oglądać ryby.

- Super! Czemu tak rzadko to robisz? Ja bym oglądał na okrągło.

- Były do mnie jakies telefony?

- Dwa. Zapisalem nazwiska i wiadomości. Są na biurku.

- Tylko dwa? Nie wierzę.

- Chcesz, żebym robił notatki ze wszystkich rozmów?

Za chwilę zwałę go z tego muru! Albo nie - podwyższę mu czynsz!

- A z jakich nie zrobiłeś? - spytałem, siłąc się na spokój.

- Eee... niech się zastanowię... Nic z tego. Wyleciały mi z głowy. Czekaj... już wiem: dzwoniła twoja mama. Prosiła, żebyś pamiętał o obiedzie i że ją znowu boli noga.

- W porządku. Ktoś jeszcze?

- Więcej już naprawdę nikt - odparł, układając się na plecach. - Chociaż, jeśli pozostaniemy przy temacie obsesji na punkcie robienia notatek ze WSZYSTKICH rozmów, to dwa dni temu dzwoniła do ciebie jakaś Amerykanka.

Zamarłem.

- Czego chciała? - spytałem zaciskając palce na poręczach.

- Gadała jak potłuczona. Z początku normalnie: cześć, mówi Anna, zatrzymałam się w „Ritzu” i proszę o telefon, a potem powiedziała zupełnie inne imię.

- Jakie?

- Za cholereę sobie nie przypomnę. I tak dobrze, że zapamiętałem jedno...

Zerwałem się z krzesła jak oparzony i popędziłem do telefonu. Spike leniwie przeciągał się na murku.

- Halo, czy to „Ritz”? Z recepcją proszę - wydyszałem.

- Słucham.

- Dzień dobry. Znalazłem się dosyć głupiej sytuacji. Jestem znajomym Anny Scott. Dzwoniła do mnie dwa dni temu z wiadomością, że zatrzymała się u państwa...

- Przykro mi, wśród naszych gości nie ma osoby o takim nazwisku - przerwał recepcjonista z zawodową uprzejmością w głosie.

- Tak, wiem. Oczywiście. Podała właściwe nazwisko i tutaj właśnie zaczyna się problem. Przekazała je mojemu sublokatorowi, nie zdając sobie sprawy, że popełnia poważny błąd. Jakby to panu wyjaśnić? Nie chciałbym pana nudzić szczegółami... Mam! Proszę sobie przypomnieć największego idiotę, jakiego miał pan nieszczęście spotkać w życiu - to ułatwi sprawę. Może pan to zrobić?

- Bez problemu.

- Jeśli teraz pomnoży go pan przez dwa, to będzie pan miał pełne wyobrażenie o stanie umysłowym - przepraszam za wyrażenie - debila, mojego sublokatora, który nie jest w stanie zapamiętać...

- Zapytaj go o pannę Flintstone - wtrącił się nagle Spike.

- Co? - psiakostka, nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł. Siedział na kanapie i wyczytniał jakieś sztuki z gazetą.

Notting Hill

- Chyba wspomniała coś o Flintstonach - powiedział spokojnie, odsuwając gazetę od twarzy; na nosie wciąż miał moją maskę.

- Czy nazwisko Flintstone coś panu mówi? - zwróciłem się do recepcjonisty.

- Łączę.

- Dobry Boże - przełknąłem ślinę. - Dzień dobry - powiedziałem na próbę i odchrząknąłem.

- Cześć... Cześć...

- Cześć - niespodziewanie odpowiedziała Anna.

- Dzień dobry, mówi William Thacker... ten z księgarni.

- Rozegrałeś to jak zawodowiec; odczekałeś prawie trzy dni. Pogratulować.

- Mylisz się. Nigdy w życiu niczego nie udało mi się zrobić jak zawodowcowi. Spike, którego za chwilę ukatrupię, nie powiedział mi o twoim telefonie.

- Rozumiem. Nie ma sprawy.

- Może umówimy się na herbatę, wpadłbym do ciebie?

- Bardzo bym chciała... niestety mamy tutaj niezły młyn, ale... dobrze, pogonię towarzystwo albo wyrwę się na chwilę. Powiedzmy - o czwartej.

- Wspaniale - odłożyłem słuchawkę. - Typowe, absolutna klasyka gatunku.

Po drodze do „Ritza” kupiłem bukiet żółtych róż. W recepcji powiedziano, żebym się udał do

apartamentu „Trafalgar”, numer 38, na prawo od windy. Razem ze mną jechał na górę jakiś facet - przyzłizany blondynek z teczką w jednej i plastikowym kubkiem z czymś tam w drugiej ręce. Wizerunek klasycznego yuppie, jeśli taki chciał prezentować, psuła lekko znoszona dżinsowa koszula założona do ciemnego garnituru. Wsiadł na tym samym piętrze, co więcej - zatrzymał się przy tych samych drzwiach.

- Pan również tutaj...? - spytałem, wskazując na numer.

- Tak.

- No cóż... - zapukałem.

Drzwi otworzyła elegancko ubrana kobieta z plikiem papierów pod pachą.

- Dzień dobry, mam na imię Karen. Przepraszam za niewielkie opóźnienie. Tutaj są materiały - powiedziała głosem pełnym energii. Wydobyła z pliku dwie błyszczące odbitki zdjęcia Anny z filmu „Helisa” i zaprosiła nas do środka.

Obszerny przedpokój apartamentu „Trafalgar” porażał przepychem. Draperie i tapety z atlasu tłoczonego w kwiaty, meble w stylu Ludwika XVI - wszystko utrzymane w tonacji kremowo-łoso-siowo-złocistej. Jak na mój gust, trochę przesadzili z kwiatami: na wszystkich stołach, stolikach i komódkach stały ogromne kompozycje z białych lili, róż i goździków. Nie wiem dlaczego, ale kolo-

rystycznie nie pasowały do wnętrza, już moje róże były lepsze.

- Co sądzicie o naszym filmie? - zapytała rzeczowo Karen.

- Rewelacja. Coś jak „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” z elementami „Jean De Florette”. Murowany Oscar - gładko wyrecytował blondynek, po czym oboje spojrzeli na mnie.

- Doskonale pan to ujął - przytaknąłem pośpiesznie.

- Jakie pisma panowie reprezentują?

- „Przerwa”, nazywam się Tarquin.

- Dziękuję. A pan?

- „Pies i koń” - przeczytałem tytuł magazynu leżącego na bocznym stoliku - William Thacker. Panna Scott została uprzedzona.

- Zaraz sprawdzę. Proszę chwilę poczekać. - Karen oddaliła się sprężystym krokiem.

- Kupił pan jej kwiaty? - zagadnął Tarquin.

- Nie... to dla... eee... dla mojej babci. Leży w szpitalu niedaleko stąd. Pomyślałem, że wpadnę do niej, skoro już tu jestem.

- Współczuję panu. A w którym szpitalu?

- Pan wybaczy, wolałbym nie mówić. Jego nazwa zdradziłaby rodzaj dolegliwości, na którą cierpi babcia.

- Oczywiście, rozumiem. - Współczująco pokiwał głową.

- Pan Thacker. - Karen wykonała zapraszający gest.

Uratowany! W samą porę.

- Ma pan pięć minut - powiedziała, otwierając ogromne złociste drzwi.

Znalazłem się w wytwornym saloniku. Anna stała przy oknie. Czarny elegancki kostium podkreślał jej doskonałą figurę. Wyglądała bosko!

- Cześć.

- Dzień dobry.

Usiadła na stylowej kanapie, mnie wskazała krzesło.

- To dla ciebie - niezdarnie podałem jej róże zawinięte w bibułkę. Żałosny dureń, kmiotek - oto kim byłem. I bez moich badyli salonik przypominał oranżerię. Między nami, na okrągłym stoliku, stał imponujących rozmiarów bukiet białych i niebieskich kwiatów. - Chyba się wygłupiłem...

- Wcale nie. Są piękne. Dziękuję.

Zapadła cisza. Czulem się trochę nieswojo, Anna chyba też.

- Przepraszam za to zamieszanie z telefonem. Zapamiętanie dwóch nazwisk jest zbyt wielkim obciążeniem dla jednej szarej komórki mojego sublokatora.

- Wiem, że to wygląda na idiotyzm, ale muszę jakoś bronić prywatności. W hotelach zwykle

Notting Hill

melduję się pod imionami bohaterów kreskówek - ostatnio byłam panną Bambi.

Do saloniku bezceremonialnie wszedł łyśawy facet w średnim wieku z butelką wody mineralnej. Elegancki, zadbany, typ ucywilizowanego twardziela. Obrzuciwszy nas ponurym spojrzeniem, podszedł do kominka i zaczął grzebać w leżących na gzymsie papierach.

- Wszystko w porządku? - spytał, kartkując jakiś folder.

- Tak - odparła Anna. - To Jeremy, szef Karen, mój spec od kontaktów z mediami - poinformowała mnie szeptem.

- Pan reprezentuje magazyn „Pies i koń”? - ni to stwierdził, ni to spytał Jeremy, spoglądając na mnie znad folderu.

Skinąłem głową, chwilowo niezdolny do posługiwania się mową. Czułem się jak lis, osaczony przez psy gończe i rasowe konie czytelników „Pies i koń”.

- Naprawdę? - w głosie Anny brzmiało autentyczne zdziwienie.

Bezradnie rozłożyłem ręce. Jeremy przeniósł się do biurka w rogu saloniku. Wszystko wskazywało na to, że pozostanie z nami dłużej. Nie mogłem milczeć w nieskończoność. Miałem do odegrania życiową rolę.

- Możemy przejść do następnego pytania?

Dłoń Anny wykonała zapraszający gest.

- No więc... film jest wspaniały... Zastanawiam się tylko, czy myśleli państwo o tym, żeby wykorzystać w nim... więcej koni?

- Oczywiście. Tyle że pojawiły się trudności natury obiektywnej, akcja rozgrywa się bowiem na statku kosmicznym.

- Oczywiście, oczywiście.

Jeremy bez słowa opuścił salonik. Kurtyna - komedia skończona. Ale obciach!

- Nie miałem pojęcia, że to dzień prasowy. Za nim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić, Karen wcisnęła mi w rękę to - potrząsałem folderem - i kompletnie się pogubiłem.

- To moja wina; myślałam, że do czwartej będzie po wszystkim. Umówiłam się z tobą, bo chciałam cię przeprosić za ten pocałunek w korytarzu. Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Przysięgam, nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś.

Skrzypnęły drzwi. Tym razem Jeremy pomaszerował prosto do biurka. Za wcześnie odtrąbiłem koniec przedstawienia.

- Proszę pamiętać, że panna Scott chętnie porozmawia o swoim następnym filmie. Zdjęcia zaczynamy pod koniec lata - zakomunikował radośnie.

- Wspaniale. Tak. Eee... a w tym będą konie? Może psy gończe? Naszych czytelników interesuje wszystko, co dotyczy i jednych, i drugich.

- Rzecz się dzieje na okręcie podwodnym - wyjaśniła Anna.

- Jasne. Dobrze... Ale gdyby w filmie występowały konie, to jeździłaby pani na nich sama, czy poprosiła do scen z końmi dublerkę?

Jeremy uznał, że jego podopiecznej nic nie grozi i porzucił nasze towarzystwo.

- Przepraszam. Robię z siebie stuprocentowego kretyna. Sam już nie wiem, czy to się dzieje naprawdę, czy we śnie. Dobrym śnie, oczywiście, o spotkaniu z wymarzoną dziewczyną.

- I co się dalej dzieje w tym śnie? - spytała kokieteryjnie.

- Myślę... że w takim prawdziwym śnie byłbym trochę innym człowiekiem - w snach jest to możliwe. Podszedłbym do dziewczyny i ją pocałował, ale, jak wiesz, tak się nie stanie.

Anna zrobiła krok w moją stronę. Pochyliłem się nad nią...

- Czas minął. - Jeremy wetknął głowę przez uchylone drzwi. - Przepraszam, że trwało tak krótko. Ma pan wszystko, co trzeba?

- Prawie.

- Dam panu jeszcze chwilę na ostatnie pytanie - rzucił łaskawie, cofając głowę.

- Jesteś zajęta dziś wieczorem? - z miejsca przeszedłem do meritum.

- Tak - odparła zgaszonym głosem.

Nagle salonik wypełnił się gwarem, dochodzącym z przedpokoju - Jeremy wprowadził następnego dziennikarza.

- Miło mi było pana poznać - powiedziała Anna oficjalnym tonem, wyciągając rękę na pożegnanie - surrealnie, ale miło.

- Dziękuję za wywiad. Czytelnicy magazynu „Pies i koń” mają dwie faworytki - panią i Piękność Nocy. Idziecie łeb w łeb.

Opuściłem salonik w poczuciu totalnej klęski. Spadaj stąd, spadaj jak najprędzej - powtarzałem sobie, z desperacją przebijając się przez tłum dziennikarzy koczujących w przedpokoju. Pełnię zmysłów odzyskałem na hotelowym korytarzu. Nie dane mi było odetchnąć z ulgą, bo znowu napatoczył się ten typ - Tarquin. Gadał z kimś przez komórkę, ale na mój widok szybko się rozłączył.

- No i jak poszło? Jaka ona jest?

- Wspaniała.

- Nie ma pan kwiatów. Zabrała panu kwiaty dla babci w szpitalu?

- Widzi pan, do czego to doszło. Co za suka. - Odwróciłem się na pięcie i o mały włos nie stara nowałem Karen.

- Niech pan pozwoli ze mną, upchnę pana jakoś w grafik innych - powiedziała konfidencko-nalnym tonem, ciągnąc mnie za rękaw.

- Jakich innych?

Bez słowa wepchnęła mnie do pokoju obok apartamentu.

- Pan Thacker z magazynu „Pies i koń” - zameldowała krótko.

I się zaczęło. Anna trafnie to ujęła - młyn. Diabelski młyn. Karuzela z gwiazdami, nie wie-dzieć czemu nazywana ucztą dla mediów.

Po chwili siedziałem naprzeciwko ciemnoskórego faceta w średnim wieku. Za nim stał ogromny bukiet z różnokolorowych kwiatów, obok - oparty na sztalugach plakat z „Helisy”.

- Podobał się panu film? - spytał z ciepłym uśmiechem, muskając starannie wymodelowaną bródkę.

- O... ogromnie.

- No to niech pan strzela.

- Właśnie, oczywiście. Czy przyjemnie się panu pracowało?

- Tak.

- A która scena sprawiła panu największą przyjemność?

- Cóż, zróbmy tak: pan mi powie, która się panu najbardziej podobała, a ja - czy przyjemnie mi się pracowało, zgoda?

- Zgoda. Najbardziej... najbardziej podobała mi się ta scena w kosmosie. Milo się panu przy niej pracowało?

Po pięciu minutach na miejscu ciemnoskórego aktora zasiadł gwiazdor zagraniczny, władający wyłącznie ojczystym językiem. Komunikował się z przedstawicielami mediów przy pomocy myszowatej tłumaczki.

- Czy utożsamia się pan z postacią odtwarzaną w filmie?

- *Te identificaste con el personaje que interpretabas?* - zaszemrała tłumaczka.

- *No* - odpowiedział zagraniczny gwiazdor.

- Nie - przełożyła tłumaczka.

- Aha. Dlaczego nie?

- *Por que no?*

- *Porque es un robot carnivaro psicopata.*

- Ponieważ gram psychopatycznego robota, który żywi się ludzkim mięsem.

- Jasne - westchnąłem.

Moją kolejną ofiarą była jedenastolatka. Amerykanka, więc obyło się bez tłumacza. Obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem i uprzejmie skinęła głową. Gwiazda przypięta do jej bluzki mrugała wesolutko.

- To twój pierwszy film?

- Nie, dwudziesty drugi.

- Oczywiście. Który z tych dwudziestu dwóch lubisz najbardziej?

- Ten, w którym pracowałam z Leonardo.

- Da Vinci?

Notting Hill

- Di Caprio.

- Jasne. Czy to właśnie on jest twoim ulubionym włoskim reżyserem?

Kiedy karuzela w końcu stanęła, wyczołgałem się z pokoju ledwie żywy. Hotelowy korytarz zmienił się nie do poznania. Jeszcze przed chwilą pusty i cichy, wyglądał jak magazyn sprzętu telewizyjnego. Ekipy oblegały drzwi do apartamentu „Trafalgar”, a przejście do wind tarasowały statywy, zwoje kabli, srebrzyste metalowe skrzynki i statywy do kamer.

Przymierzałem się do pokonania tego toru przeszkód, kiedy z drugiego końca zamachała do mnie Karen.

- Panie Thacker!

- Słucham - jęknąłem zbolalym głosem.

- Ma pan jeszcze chwilę? - spytała i, nie czekając na odpowiedź, zapukała do jakichś drzwi.

- Proszę - usłyszałem głos Anny.

Tym razem przyjęła mnie w prywatnym apartamencie. Musiała już skończyć wywiady, bo wyglądała bardziej po domowemu - rozpuszczone włosy miękko opadały na ramiona, była w spodniach od kostiumu, błękitnej jedwabnej bluzce i o ton ciemniejszym krawacie w gwiazdki.

- Co to ja chciałam... Aha. Ta impreza, na którą miałam iść wieczorem, jest już nieaktualna. Wszystko odwołałam. Powiedziałam, że mam

Richard Curtis

ważne spotkanie z dziennikarzem, najlepszym w Wielkiej Brytanii specjalistą od koni.

- Kapitalnie. W takim razie... O, jasny gwint! Na śmierć zapomniałem. Dziś są urodziny mojej siostry, wieczorem spotykamy się u Maksów, naszych przyjaciół.

- Dobrze - nie ma sprawy.

- Poczekaj... niech pomyślę. Jasne, wyłgam się jakoś.

- Nie ma potrzeby. Możemy pójść razem. No wiesz, jako para. To znaczy, jeśli chcesz.

- Poszłabyś ze mną na urodziny mojej siostry?

- Myślisz, że nie wypada?

- Ależ wypada, oczywiście, że wypada. Żarcie przygotowuje Max, a trzeba ci wiedzieć, że to najgorszy kucharz na świecie. Udowodniono to już jakiś czas temu. Ale nie bój się, zawsze możesz dyskretnie wrzucić zawartość talerza do torebki.

- Tak zrobię.

- Super. Wpadnę po ciebie o siódmej.

„Psiakostka!”

Maks zatkąło. Przyswajał informację przez dobrą chwilę, po czym filozoficznie stwierdził, że cuda się zdarzają. Koniecznie chciał wiedzieć, kim jest TA dziewczyna i jak jej na imię. Jeszcze czego! Powiedziałem, że dowie się w swoim czasie.

O umówionej porze zadzwoniłem do drzwi. Otworzył Max i, nie spojrzawszy na nas, pobiegł w głąb mieszkania, poprawiając po drodze strój ochronny - fartuszek w biało-granatową kratkę.

- Chodźcie, chodźcie. Piekarnik zaczął wariować - pokrzykiwał zaaferowany.

Przeszliśmy przez ogromny pokój, zajmujący cały parter domu. Ze względu na Bellę tutaj koncentrowało się życie domowe i towarzyskie Maksów. Po prawej stronie saloniku z kominkiem i wygodną kanapą mieściła się kuchnia, po lewej - weranda, gdzie domownicy jadalі posiłki i podejmowali gości.

Richard Curtis

- Cześć. - Bella wyjechała z za stolika służącego za barek. - Nie sądziliśmy, że pieczenie perliczki jest aż tak skomplikowane.

- Max porwał się na perliczkę? - spytałem, porażony zuchwałością mojego przyjaciela.

- Lepiej już nic nie mów.

- Dzień dobry. - Anna podeszła do Belli.

- Czeeeeść... Dobry Boże... do złudzenia przypominaasz...

- Pozwól Bello, to jest Anna.

- No właśnie...

Bella nie mogła oderwać oczu od Anny. Kiedy już nie wypadało dłużej przyglądać się twarzy, przesunęła wzrok niżej - na lekki zakiet z chińskiego jedwabiu drukowanego w kwiaty, nałożony na podkoszulek z głębokim dekoltem i dzinsy. Jak to baba!

- Zwycięstwo! Kryzys opanowany! - Max wychylił się z kuchni.

- Max, to jest Anna.

- Dzień dobry, Anno... Scott? - dokończył trochę bez sensu głosem, w którym niedowierzanie mieszało się z zachwytem. - Napijesz się wina?

- Poproszę.

Pling, pling - odezwał się gong w przedpokoju. Max podał Annie kieliszek i poszedł otworzyć. Brzydzą się podsłuchiwaniami, ale tym razem nie

wytrzymałem. Delikatnie przesunąłem się w stronę korytarza i nastawiłem ucha.

- A, to nasza droga jubilatka. Witam, wszystkiego najlepszego. Słuchaj, twój brat przyszedł z dziewczyną i tego, no... - szeptał gorączkowo. Jednym susem znalazłem się przy paniach.

- Sie manko! - wykrzyknęła Honey od progu, potrząsając diabelskimi różkami, zdobiacymi urodzinową fryzurę. - Ja pierdziele! - zatrzymała się wpół kroku z nieprzystojnie otwartą buzią i wytrzeszczonymi oczami.

- Honey, to jest Anna. Anno, to jest Honey, moja młodsza siostra.

- Dobry Boże, to jedna z tych ciężkich prób, na jakie wystawia nas życie. Niektórzy wychodzą z nich zwycięsko - potrafią zapanować nad emocjami i zdobyć się na absolutny spokój; ja zawsze przegrywam - idę na żywioł i teraz też tak będzie. Wielbię cię absolutnie, nieskończenie, totalnie; uważam, że jesteś najpiękniejszą kobietą świata, a co ważniejsze - autentycznie wierzę, zresztą już od jakiegoś czasu, że będziemy najlepszymi kumplami. Co ty na to?

- Myślę, że... no wiesz... szczęściara ze mnie. Wszystkiego najlepszego; proszę to taki drobiazg ode mnie.

- O Boże. Dałaś mi prezent, jak najlepszej przyjaciółce. A więc to się już stało. Wyjdź za Wil-

la - to naprawdę fajny facet - wtedy będziemy siostrami - dokończyła w rozmarzeniu.

- Zastanowię się. - Anna lekko się zarumieniła.

Od śmierci przez uduszenie wybawił moją siostrę Bernie - spóźniony, jak twierdził, z powodu milionów, które, niestety, poszły w błoto. Anny najwyraźniej nie skojarzył; wyrecytował tradycyjną formułkę i podszedł do Honey.

- Wszystkiego najlepszego, miodziu-słodziu. To dla ciebie. - Wręczył jej spore pudełko, owinięte fioletową bibułą - kapelusz, ale nie musisz go nosić.

Honey pociągnęła dziewczyny przymierzać dzinsowe cudo ozdobione ogromnymi sztucznymi kwiatami. Korzystając z zamieszania, Max wepchnął mnie do kuchni.

- Spałeś z nią? Gadaj!

- Na tak niestosowne pytanie może być tylko jedna odpowiedź: bez komentarza.

- „Bez komentarza” oznacza tak.

- Nic podobnego.

- Czy ty się kiedyś onanizowałeś?

- Zdecydowanie bez komentarza.

- No widzisz. Bez komentarza oznacza odpowiedź twierdzącą...

Przesłuchanie zaczęło mnie męczyć. W przyływie natchnienia zainteresowałem się stanem

perliczki. Max wrócił do obowiązków, a ja do saloniku, gdzie Bernie bez większego entuzjazmu bawił Annę rozmową.

- Czym się zajmujesz? - spytał konwersacyjnym tonem.

- Jestem aktorką.

- Ooo! Ja robię w finansach, znaczy pracuję na giełdzie. To zupełnie inna branża, ale kiedyś grałem w amatorskich przedstawieniach, takich tam farsach P.G. Wodehouse'a - „Ależ, pastorze, nie tak obcesowo”, wiesz. Po tych doświadczeniach zrozumiałem, że aktorstwo to bardzo trudny zawód. I niewdzięczny. Zarobki są skandalicznie niskie, nie sądzisz?

- Czasami.

- Kilku moich kumpli z uniwersytetu - zdolnych jak diabli - robi w aktorstwie dłużej od ciebie, i co? Wegetują za siedem, osiem tysięcy rocznie. To ma być życie? A ty, w czym grywasz?

- Przeważnie w filmach.

- To rozumiem! Mądra decyzja. Jak tam płacą? Na przykład, ile dostałaś za ostatni film?

- Piętnaście milionów dolarów.

- A, no tak. W zasadzie... całkiem nieźle. Nawet sporo... Może chcesz orzeszków?

- Podano do stołu - oznajmił Max.

- Siadajcie, ja tylko na chwilę... - powiedziała Anna.

Poszeptała z Bellą i wyszła do przedpokoju. Za nią wybiegła Honey. Pozostali dla pewności oczekali chwilę, po czym rzucili się na mnie jak sępy. Wyrwali z ręki zapalki i przemocą posadzili na krześle.

- Zostaw teraz te świece i gadaj, tylko szybko, bo szkoda czasu. Skąd wytrzasnąłeś Annę Scott?
- gorączkowała się Bella.

- To jest Anna Scott? - Bernie nie posiadał się ze zdumienia.

- No - odparła Bella z dumą gospodyni, której niespodziewanie trafił się dostojny gość.

- Ta gwiazda filmowa? - upewnił się Bernie.

- We własnej osobie.

- O Boże, słodki Boże, a niech to szlag - wyszeptał Bernie.

- Słuchajcie - Honey aż poczerwieniała z emocji - ja chyba śnię. Ona do klopa - ja za nią. Ona rozpina dzinsy - ja bez przerwy nawijam. Wyszłam, dlatego że mnie poprosiła.

Spojrzała na nas z błyskiem w oku i zręcznym ruchem wcisnęła na głowę prezent od Berniego.

Max wyszedł zwycięsko z pojedynku z oporną perliczką - smakowała całkiem nieźle. Wszyscy chwalili, choć podkpiwali z jego talentów kulinarnych, żeby sobie Bóg wie czego nie pomyślał. Honey przyjmowała toasty z właściwym sobie wdziękiem, spóźniony refleks Berniego co chwilę

wywoływał salwy śmiechu. Bawiliśmy się fantastycznie, jak zwykle u Maksów. Mieli niebywały dar - potrafili bez wysiłku stworzyć wspaniałą atmosferę. Annie udzielił się nasz niewymuszony luz. Początkowo tylko szeptała z Bella, ale szybko włączyła się do rozmowy i z humorem reagowała na zaczepki. Kupiła nas, powiedziałbym nawet, że polubiła.

- Anno, twoja obecność uświadomiła mi niewesołą, niestety, prawdę - powiedział Max, stawiając na stole okazały tort i tacę z pierniczkami. - Oto, siedząc obok tak znakomitego gościa stwierdziłem, że jesteśmy bandą największych w świecie, beznadziejnych nieudaczników, co zresztą od dawna podejrzewałem.

- Wstyd i hańba! - gromko zawtórował Bernie.

- Nic podobnego. Wcale tak nie uważam, wprost przeciwnie, uważam to za powód do dumy. Proponuję zawody. Nagrodą będzie ostatni pierniczek, a przypadnie on temu, kto nas przekona, że jest największym nieudacznikiem.

- Zaczniemy od Berniego - zaproponowałem.

- Wiedziałem, że tak będzie. No dobra - pracuję w City, ni diabła nie kumam, o co chodzi w mojej robocie, a do tego jestem notorycznie pomijany przy awansach. Dziewczyny nie miałem od... odkąd pojawiło mi się owłosienie łonowe; żeby was nie zanudzać szczegółami, powiem krót-

ko: żadnej się nie podobam, a choćbym nie wiem jak chciał, ta twarzyczka nigdy nie będzie piękniejsza.

- Głupoty gadasz - pośpiesznie skarciła go Honey. - Mnie się podobasz. W każdym razie podobaleś, zanim tak okropnie przytyłeś.

- Widzisz - i o ile mnie pamięć nie myli, dostajesz zupełnie przyzwoitą kasę, podczas gdy ta oto Honey zarabia marne grosze, wypruwając sobie żyły w najpodlejszym sklepie płytowym w całym Londynie - powiedział Max głosem sprzedawcy zachwalającego towar.

- No - ochoczo przytaknęła Honey, zaciągając się papierosem. - I do tego nie mam włosów, tylko nędzne pióra, i niesamowicie wylupiaсте oczy, i przyciągam samych brutali, i... i nikt się ze mną nie ożeni, bo ostatnio cycki mi się kurczą.

- Słyszycie? To jest dopiero historia nieudacznicy. Nic tylko się i płakać - rozczulił się Max.

- Może nie jest z nią tak źle. W końcu jej najlepszą przyjaciółką jest Anna Scott - wtrąciła Bella.

- Nie przeczę. Ale ona mnie potrzebuje, czy w tej sytuacji mogę ją odtrącić? - broniła się Honey.

- I ma sprawne członki, przynajmniej większość, podczas gdy ja jestem przykuta do tego

cholerstwa - Bella ze złością walnęła dłońmi w poręczę wózka - i żyję w domu pełnym ramp jak w więzieniu. Żeby się do końca pognębić, rzuciłam palenie, moją ulubioną rozrywkę, i na dobitkę... nie mogę mieć dziecka.

Nikt się nie odezwał. Otęпали, wlepiliśmy wzrok w deseń na obrusie, tylko Max wychyliwszy się do przodu, patrzył na żonę z czułością i bezgranicznym oddaniem.

- Bella - szepnąłem ze ściśniętym sercem - bellissima...

- Nie mów tak, to nieprawda... - Berniemu w oczach błysnęły łzy.

- *C'est la vie...* w wielu sprawach nam się poszczęściło... ale... Tak czy inaczej na pewno zasługuję na pierniczka - dokończyła już normalnym tonem.

- Mmm... No nie wiem, nie wiem - przekomarał się Max. - Co byś powiedziała o Williamie? Facet w średnim wieku, bez sukcesów zawodowych. Rozwodnik. Choć dzisiaj trudno w to uwierzyć, kiedyś uchodził za przystojnego. I zdecydowanie nie ma co liczyć na randki z Anną, bo ona nie będzie chciała go znać, kiedy tylko się dowie, dlaczego w szkole miał ksywkę Gacek.

Ryknęli śmiechem aż zadzwoniły talerze w kredensie. Anna spoglądała na mnie z rozba-wieniem.

Richard Curtis

- Czy to znaczy, że pierniczek jest mój?
- Zdecydowanie - powiedział Max, podnosząc w górę kieliszek.

- Zaraz. A ja? - spytała Anna.

- Ty? Chcesz powiedzieć, że zasłużyłaś na pierniczka? - powątpiewał Max.

- To się okaże. Dajcie mi przynajmniej szansę powalczyć.

- Dobra. Ale żadnej taryfy ulgowej. Pierniczek jest wyjątkowo pyszny i nie zamierzam go tanio sprzedać. Zamieniamy się w słuch.

- Od dziewiętnastego roku życia jestem na ściślejszej diecie, inaczej mówiąc, głoduję od dziesięciu lat. Moi kolejni partnerzy nie byli zbyt mili - od jednego kiedyś nieźle oberwałam. O każdym zawodzie miłosnym, osobistej tragedii, prasa rozpisывała się tak, jakby to była najlepsza rozrywka. Trzeba wam wiedzieć, że za moją twarz, za to, jak teraz wyglądam, zapłacono miliony...

- Bujasz. - Honey machnęła ręką.

- Nie bujam. Pewnego pięknego dnia, już niedługo... uroda przemienie. Wtedy odkryją, że nie potrafię grać. Staną się zgorzkniałą kobietą w średnim wieku, trochę podobną do tej, która przez chwilę była gwiazdą.

Anna nie grała ani nie użalała się nad sobą. Mówiła cichym, ale pewnym głosem. Szczerą, brutalną prawdę. To, o czym od dawna wiedziała,

i czego już przestała się bać. Otworzyła się przed nami, bo zrozumiała, że może nam zaufać. Słowa Anny Scott poruszyły nas do głębi.

- E tam - Max nadrabiał miną. - Staralaś się młoda damo, fakt, ale nas nie nabierzesz.

Parsknęliśmy śmiechem.

- Myślałaś, że tą żalną próbą pozbawisz mnie pierniczka? Niedoczekanie! - dumnie wypiąłem pierś i skonsumowałem nagrodę przy gromkich brawach.

Po godzinie z tortu została tylko cukrowa różyczka i okruszki. Nie zważając na protesty Belli, pomogliśmy jej sprzątnąć ze stołu. Anna dopiła wino, chwilę poszeptala z Bellą i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia.

- Wieczór był naprawdę uroczy. Bawiłam się wyśmienicie - powiedziała Anna, żegnając się z Maksem.

- Miło mi - skłonił się z galanterią.

Anna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Max chwycił się za serce, błaznując.

- Muszę również przyznać, że masz niezwykle gustowny krawat.

- Podoba ci się to buraczkowo-szare pas kudztwo?! Przecież widzę, że kłamiesz aż się kurzy.

- Sam się przekonałeś, że ze mnie żadna aktorka.

Max był w siódmym niebie. Mało co sprawiało mu taką radość, jak obcowanie z ludźmi, którzy nadają na tej samej fali.

- Dobranoc, Bello. Tak się cieszę, że cię poznałam.

- Ja też, że poznałam ciebie. I na dowód sympatii powiem Maksowi, że jesteś wegetarianką, dopiero jak wyjdziecie.

- Co? No nie! - Max był autentycznie zaskoczony, ja zresztą też. Zastanawiałem się, co w takim razie zrobiła z perliczką, bo jakoś nie zauważyłem, żeby coś chowała do torebki.

- Dobranoc, Honey.

- Głupia sprawa z tym klopem, przepraszam. Sama chciałam wyjść, tylko... tak jakoś... nieważne. Zadzwoni do mnie, jakbyś chciała się z kimś wybrać na zakupy. Znam mnóstwo odjazdowych tanich sklepów... to znaczy, wiesz, pieniądze niekoniecznie... miło było cię poznać - wyraźnie speszona uściskała Annę.

- Też się cieszę, że cię poznałam. Od dziś jesteś moim guru w sprawach mody.

Wolałbym, żeby było odwrotnie. Moja siostra jest w porządku, ale gust ma, delikatnie mówiąc, specyficzny. Prawie tak specyficzny, jak Spike. Czasami nawet zastanawiałem się, czy im to przejdzie z wiekiem. Martwiłem się o Honey, bo panie w średnim wieku nie wyglądają najlepiej

Notting Hill

w półprzezroczystych kwiecistych kreacjach, opiętych podkoszulkach i sztucznej biżuterii. Nie twierdzę, że Anna gustuje w smętnych kiecach. Ubierała się seksownie, ale w kwestii definicji seksownego stroju zdecydowanie różniła się od Honey.

Machali nam na pożegnanie stłoczeni w korytarzu, i nagle Bernie zrobił krok do przodu.

- Uwielbiam twoje filmy - wydukał nieśmiało.

Nerwowo przestępował z nogi na nogę, patrząc na Annę smutnymi oczami spaniela. Posłała mu promienny uśmiech.

Ledwo wyszliśmy za próg, zza drzwi dobiegł jakiś rumor, a w sekundę później, potężny okrzyk triumfu. Jeśli już musieli się drzeć, mogliby, kurczę, chwilę odczekać albo przenieść się do salonu.

- To u nich normalne - zawsze mnie tak żegnają.

Maksowie mieszkali przy Lansdowne Road, na obrzeżach Notting Hill. W tym zamieszaniu zupełnie zapomniałem zadzwonić po taksówkę. Ale, co tam! Noc była młoda, piękna - w sam raz na krótki spacer do najbliższego postoju.

- Gacek? Dobrze zapamiętałam?

- Dlatego, że wkręca się w włosy, a nie dlatego, że wciąż zwisa głową w dół. Miałem okropną fryzurę i tyle - wyrecytowałem jednym tchem, zapominając, do kogo mówię. Tę formułkę obku-

łem na blachę, ponieważ Anna nie była bynajmniej pierwszą osobą, której musiałem objaśnić etymologię ksywki.

- Przecież nic nie mówię - parsknęła śmiechem.

- Dlaczego Bella jeździ na wózku? - spytała po chwili.

- Miała wypadek - jakieś półtora roku temu.

- To dlatego nie może zejść w ciążę?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Przedtem chyba nie myśleli o dzieciach, aż tu nagle los zadecydował za nich.

Kiedy mijaliśmy kolejną przecznicę, zebrałem się na odwagę...

- Słuchaj... może... Mój dom jest tuż za...? - bąkałem niezdarnie.

- Nie obraż się, ale nie. I bez tego sprawy są dostatecznie pogmatwane.

- W porządku, nie nalegam.

- Masz jakieś plany na jutro?

- Przecież miałaś jutro wyjeżdżać?

- Ano, miałam.

Ulice powoli pustoszały. Ostatni przechodnie śpieszyli do domów, pod wielkim drzewem tulili się do siebie zakochani - szczęściarze!

- O Boże, spójrz! - Anna nerwowo ścisnęła mnie za ramię - Widzisz tego faceta? Poczekaj, zaraz wyjdzie z cienia. Dziwny jakiś. Gapi się na

nas. W razie czego, ty z nim gadaj. - Wyjęła z torebki ciemne okulary i wcisnęła na nos.

- William! - ucieszył się facet, notabene nie żaden zboczeniec, tylko mój przyjaciel, całkiem przyzwoity gość. - A to dopiero! Cześć.

- Cześć. Co za spotkanie! Co słyhać? Wszystko w porządku, po staremu?

Anna zdjęła okulary. Zrobiła skruszoną minę i uśmiechnęła się półgębkiem. Mój znajomy głupkowato wyszczerzył zęby.

- Niezupełnie. Odkąd straciłem pracę, życie dawało mi w kość. Teraz pomału wracam do równowagi.

- Świetnie. Tak trzymać. Martwiłem się o ciebie, przestałeś przychodzić na mecze; miło słyszeć, że wychodzisz na prostą. Cieszę się, naprawdę. I nieźle się trzymasz, nic się nie zmieniłeś.

- No wiesz... Fryzura nieco inna, ale poza tym... - Przesunął dłonią po głębokich zakolach.

- Tak, grunt to fryzura. Popatrz, co za spotkanie...

- Jak to mówią, góra z górą... Przepraszam, muszę pędzić. Dobranoc. - Znów wyszczerzył się do Anny.

- My też pędzimy. Trzymaj się. Cześć.

- Dlaczego nas nie przedstawiłeś? - spytała, oglądając się za facetem.

- Bo za cholere nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia! Idzie teraz i myśli, jaka ze mnie szuja. Że nim gardzę, że nie jest wart, że bym go przedstawiał moim znajomym. Odtąd jestem dla niego palantem, który olewa starych kumpli, kiedy tylko pozna kogoś sławnego. Paranoja!

- Skoro zapomniałeś, jak mu na imię, to chyba nie jest bliskim przyjacielem, raczej znajomym?

- Rzecz w tym, że on jest moim przyjacielem. Jeszcze niedawno razem graliśmy w nogę, spotykaliśmy się co tydzień. A teraz? Potraktowałem go jak najgorszego śmiecia.

- Nie jęcz. Naprawimy to. - Zrobiła w tył zwrot i popędziła w głąb ulicy.

- Co ty wyprawiasz? - zawołałem.

Nie zwolniła, więc chcąc nie chcąc pobiegłem za nią. Zanim ich dogoniłem, Anna zdażyła dokonać prezentacji.

- Od razu panią poznałem - mówił kumpel, gdy zatrzymałem się lekko zziązany.

- William wie, że jestem trochę przeczulona na punkcie zawierania nowych znajomości, ale to nie dotyczy jego przyjaciół... Takich jak ty, Hugo.

Hugo! Jasne, że Hugo. Mam początki sklerozy, czy co?

- Słyszałam, że grywacie razem w nogę.

- Raz w tygodniu. Fujara na bramce, ja na skrzydle - wyjaśnił z dumą Hugo.

- Nie przypuszczałam, że z... Fujary taki sportowiec... Ja tu gadu-gadu, a przecież tobie się śpieszy. Chciałam tylko... No wiesz. - Cmoknęła go w policzek. - O Boże! Cóż to za uczucie, przytulić się do męskiej twarzy. Jestem wyjątkowo niestała w uczuciach i teraz mam problem: zostać z Fujarą, czy odejść w siną dal z tajemniczym nieznanym w tweedach, który skradł moje płoche serce pierwszym niewinnym pocałunkiem.

Hugo ze świstem wciągnął powietrze. Krygował się jak sztubak, popatrując na mnie z ukosa.

- Eee... lepiej będzie, jak zostaniesz z nim... Ja...tego... jestem żonaty. Ale... cieszę się, że cię poznałem. Fajnie byłoby znowu pograć, co ty na to, Fujaro?

- Chętnie, Hugo, kiedy zechcesz.

- Zdzwonimy się.

- Pa - powiedziała Anna, ale Hugo już tego nie słyszał. Oddalał się szybko sprężystym krokiem, wyprostowany ja struna.

- To w końcu Gacek, czy Fujara? - spytała, siląc się na poważny ton.

- Nie mam pojęcia, skąd oni wytrzasnęli te ksywki. Logicznego uzasadnienia jak dotąd brak, w każdym razie mnie takiego nie przedstawiono.

- Ale przecież przed chwilą mówiłeś, że...

Richard Curtis

- To była moja interpretacja, nawiasem mówiąc, jedynie słuszna interpretacja - odrzekłem z godnością.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Cienie drzew oświetlonych latarniami przybierały przedziwne kształty. W ciszy nocy słychać było tylko odgłos naszych kroków.

- Co tam jest? - Wskazała na wysoką metalową bramę.

- Ogrody. Każdy kwadrat ulic w tej dzielnicy tworzy jakby małą wioskę i ma swój tajemniczy ogród.

- Wejdźmy do środka.

- Nie możemy. Rzecz w tym, że to teren prywatny. Wioska i ogród należą do mieszkańców okolicznych domów.

- Ty stosujesz się do takich zakazów, przestrzegasz reguł? - W jej głosie nie było przekory, spytała takim tonem, jakby od mojej odpowiedzi zależało coś bardzo ważnego.

- Mmm... - Zawahałem się; Anna patrzyła na mnie wyczekująco - A do diabła z tym, inni się stosują, ale nie ja. Zawsze robię to, co chcę.

Potrząsnąłem bramą - wytrzyma. Oparłem stopę na kracie, podciągnąłem się na rękach i dostawiłem drugą.

Kiedy próbowałem przełożyć nogę nad ostro zakończonymi prętami, straciłem równowagę.

Wylądowałem na chodniku, na szczęście, bez szwanku.

- Psiakostka - burknąłem pod nosem, z determinacją gramoląc się z powrotem.

- Co powiedziałeś? - spytała rozbawiona.

- Nic - odrzekłem, złącząc z bramy.

- Właśnie, że coś powiedziałeś - upierała się.

- Zdawało ci się.

- Powiedziałeś „psiakostka”.

- Stanowczo zaprzeczam. Dzisiaj nikt nie mówi „psiakostka”, chyba że...

- Żadnego chyba. Nikt nie mówi „psiakostka” od pięćdziesięciu lat, a i wtedy mówiły tak tylko małe dziewczynki z jasnymi loczkami.

- No właśnie. Włazę... O, psiakostka. - Tym razem o mało nie rozdarłem sobie spodni. - Co tak patrzysz? To jest rodzaj schorzenia, jednostka chorobowa. Przepisali mi pigułki i zastrzyki, rokowania są pomyśle - niedługo wyzdrowięję.

- Odsuń się - powiedziała, wpychając zakieciak za pasek dzinsów.

Zręcznym ruchem chwyciła poprzeczny pręt i wspięła się do połowy wysokości bramy.

- Ostrożnie, to wcale nie jest takie proste; nie szarżuj Anno - nawoływałem z dołu.

Przełożyła jedną, potem drugą nogę i zeskoczyła na trawnik.

- Okazuje się, że całkiem proste.

- Hej, Gacku, Fujaro, włącz - powiedziała rozkazującym tonem.

Zaatakowałem bramę, aż się zatrzęsała, skrzyjąc i pobrzękując. Na szczęście, tym razem jakoś się udało.

- No i co takiego nadzwyczajnego jest w tym ogrodzie, żebyśmy się musieli tak męczyć? - spytałem, podchodząc do Anny.

Bez słowa pocałowała mnie; tym razem nie było to pensjonarskie cmoknięcie. Trzymałem ją w ramionach, uległą i kruchą.

- Przepiękny ogród - szepnąłem jej do ucha.

Był piękny. W poświęcie księżycy mienił się tajemniczym blaskiem, czernią i szarością cieni. Blask ciepłego światła z okien otaczających go domów wydobywał z nocy zieleń liści i przebijał się przez gałęzie. Roje świetlików krążyły nad krzewami. To ginąc w ciemności, to znów się pojawiając, mrugały do nas filuternie. Na skraju trawnika stała samotna drewniana ławka. Anna usiadła, opierając się o poręcz.

- Patrz, tutaj jest jakiś napis. Przesuń się, zasłaniasz światło. „Pamięci June, która kochała ten ogród - Joseph, który zawsze siedział obok niej” - czytała powoli. - I jeszcze coś - „June Wetherby, 1917-1992”. Ach, są na tym świecie ludzie, którzy idą przez życie razem, dopóki ich śmierć nie rozłączy - westchnęła.

Siedziałem z rodzicami przy stole w ich jadalni, sterylnej jak sala operacyjna porządnego szpitala. Przyjąłem zaproszenie na obiad, bo ostatnio trochę ich zaniedbywałem, a poza tym wołałem, żeby dowiedzieli się o Annie ode mnie niż od Honey.

- Coś wam powiem, ale musicie mi przysiąc, że zatrzymacie to tylko dla siebie, zgoda? - popatrzyłem na nich surowo.

- Nikomu nie powiemy - powiedział ojciec, nie podnosząc oczu znad talerza; mama kiwnęła głową.

- Nie wolno wam rozpowiadać o tym na prawo i lewo, bo sprawa jest poważna. Chodzi o osobę, z którą jestem związany... Ona jest trochę przeczulona...

- Ale to nie jest Fergie? - Mama popatrzyła na mnie ze zgrozą w oczach.

- Nie, mamó. To nie jest Fergie.

Uspokoilem się - nic nie wiedzą, a już myślałem, że Honey wypaplała. Ubrali się tak jakoś odświętnie, ojciec nawet włożył krawat.

- Nie wdawaj się w żadne afery z Fergie. Najpierw przepuści cały twój majątek, potem każe ci ssać jej palce u nóg, a na koniec rzuci dla pierwszego łysego faceta, który zapala do niej uczuciem - uświadamiał mnie ojciec, machając nożem, jakby dla podkreślenia wagi słów.

- Taka lady Helena Windsor, to dopiero urocza kobieta - rozmarzyła się mama.

- O tak, fantastyczna - przytaknął ojciec.

- Może, ale tak się dziwnie składa, że osoba, o której chcę wam powiedzieć, nie należy do rodziny królewskiej. Otóż - tylko proszę was, musicie to zachować w sekrecie - ostatnio spotykam się... z Anną Scott - zakończyłem z triumfem w głosie.

Zdębieli. Patrzyli na mnie kompletnie zaskoczeni. Zablokowało ich na amen.

- Z kim? - wreszcie wykrztusiła mama.

- Na miłość boską, przecież ją znacie. Oglądaliśmy razem jej film w telewizji... w święta Bożego Narodzenia... No, mamoo...

- Anna Scott. Ach, tak. Oczywiście. Świetnie, synu, świetnie - powiedział szybko ojciec ugodowym tonem. - A jak ci idzie interes? Kręci się? - spytał po chwili.

- Zaraz. Nie kończmy rozmowy w ten sposób. Tato, nie zmieniaj tematu, pomyśl o tym, co przed chwilą usłyszałeś. To tak, jakbyś powiedział swemu ojcu, że chodzisz na randki z Vivien Leigh czy Grace Kelly. Anna Scott dla mojego pokolenia znaczy tyle, co Vivien i Grace dla twojego. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Biedna Grace - westchnęła mama, wznosząc oczy ku sufitowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - poczułem się lekko skołowany.

- Cóż za okropna śmierć. I te biedne dzieci, sierotki. - Rozczuliła się na dobre.

- Nie mówiłem o jej śmierci, tylko o tym, jak cudownie byłoby ją całować za życia!

- Pamiętam, kiedy pierwszy raz pocałowałem twoją mamę... - powiedział ojciec, intensywnie wpatrując się w punkt na ścianie.

- Kochanie, tylko proszę cię, nie wdawaj się w szczegóły - łagodnie strofowała go mama.

- Tamtego dnia był piekielny skwar... - kontynuował niezrażony.

- Znowu odbiegamy od tematu - mówiliśmy o mnie i Annie Scott.

- Przypomniałam sobie - radośnie oznajmiła mama - Anna Scott... taka ładna dziewczyna, trochę podobna do Mavis.

- Kochana Mavis. Ileż oni się wycierpieli z Geraldem przez ten rok, mój Boże - zasępił się ojciec. - Artretyzm potrafi nieźle dać w kość.

- Biedactwa - zawtórowała żalobnie mama.

- No tak... rzeczywiście... A co tam słyhać u Deidre? Wciąż uczy? - spytałem z rezygnacją w głosie.

Miotalem się nago po pokoju, podtrzymując opadający ręcznik. Anna jednak nie wyjechała.

Umówiłem się z nią na wieczór; w planie mieliśmy kino i kolację w japońskiej restauracji. Tylko tego brakowało, żebym się spóźnił.

- Cholera jasna. Cholera jasna! Cholera jasna!!! Spike, nie widziałeś moich okularów?

- Niestety, nie - burknął.

Ganiam dookoła jak szalony, a ten nic - rozwalił się na kanapie i czyta jakiegoś szmatławca.

- Jasna cholera! Zawsze kiedy idę do kina, giną mi okulary. W inne dni same włożą w oczy, gdzie spojrzę - są. Jak ich potrzebuję - zapadają się pod ziemię. Złośliwość losu.

- Taka jak, dajmy na to, trzęsienia ziemi na Dalekim Wschodzie czy rak jąder? - Spike wyraźnie miał ochotę pogadać, w przeciwieństwie do mnie.

- O kurczę, to już tak późno? Muszę się zbierać.

Błyskawicznie wskoczyłem w ciuchy i pędem zbiegłem na dół.

- Dziękuję za pomoc, Spike - rzuciłem ironicznie w przelocie.

- Nie ma za co - odpowiedział dobrotliwie. - Znalazłeś okulary?

- W pewnym sensie.

Światła przygasły. Dyskretnie wyciągnąłem z kieszeni maskę do nurkowania i założyłem na nos. W samą porę - film właśnie się zaczynał.

Anna zaproponowała, żebyśmy pojechali do kina, a stamtąd do restauracji samochodem, wynajętym dla niej na czas pobytu w Londynie. Umówiliśmy się z szoferem, że po seansie będzie na nas czekał na parkingu obok kina. Idąc do samochodu, komentowaliśmy film, zresztą zupełnie niezły, gdy wtem stanąłem jak rażony gromem. Z naprzeciwka szła młoda elegancko ubrana kobieta.

- Tego tylko brakowało!

- Co się stało? Zgubiłeś swoje wytworne okulary? - podkiwała Anna.

- Widzisz tę kobietę. Nie tę, tamtą, w długim skórzanym płaszczu. O Boże, już mnie zauważyła.

- Kto to jest?

- Moja... - Nie było czasu na wyjaśnienia - Carol! Jak się masz!

- Dzień dobry - cmoknęła mnie w policzek. - Przepraszam, śpieszę się. Jestem spóźniona jak diabli, pod tym względem nic się nie zmieniło. - Uśmiechnęła się krzywo.

- Fakt, nigdy nie grzeszyłaś punktualnością - burknąłem urażony. - Pozwól Anno, to jest Carol, moja była żona. Przeżyliśmy razem kilka ładnych lat. Carol - to jest Anna.

- Dzień dobry - przywitała się Anna.

- Witam - odpowiedziała chłodno Carol.

Cała ona! Moich przyjaciół, a zwłaszcza kobiety, z którymi mnie przypadkowo spotykała, traktowała jak istoty niższego rzędu. Teraz jednak coś ją wyraźnie zaniepokoiło. Zlustrowała Annę uważnie i szczęka jej opadła. Dosłownie. Z otwartymi ustami obrzuciła mnie błyskawicznym spojrzeniem i utkwiała wzrok w Annie.

- Dzień doobry - zagruchała słodziutko, rozpluwając się w uśmiechu.

- Pięknie wyglądasz - powiedziałem.

- Chyba żartujesz? W tej fryzurze? - krygowała się. - George'owi się nie podoba, wprost nie może na mnie patrzeć.

Mówiła do mnie, ale nie odrywała oczu od Anny.

- Proszę mu powiedzieć, że się myli - powiedziała Anna.

- Powiem, jasne, że powiem - ucieszyła się Carol.

- Jak się miewa mały George? - spytałem.

- Jest równie okropny jak duży George - wyrzuciła jednym tchem i zamilkła.

Moja była żona wyraźnie straciła kontenans, zwykle bywała bardziej rozmowna.

- Aż tak źle? Współczuję. Miło się rozmawia, ale skoro jesteś spóźniona jak diabli, nie będziemy cię zatrzymywać. Zadzwon kiedyś, pogadamy. Mieszkam tam, gdzie mieszkałem. Gdzie razem mieszkaliśmy.

Notting Hill

- Zadzwoń. Miło było panią poznać.

Postała chwilę i ruszyła niepewnym krokiem, kręcąc głową.

- Wszystko w porządku? - zapytała Anna, przyglądając mi się z ukosa.

- Tak... - Uśmiechnąłem się szeroko. - Los jest dla mnie nadzwyczaj łaskawy. Czyż to nie cudowne, że spotykając moją eks po raz pierwszy od czterech lat, jestem w towarzystwie tak fantastycznej laski!

- Ależ ty jesteś prymitywny!

- Wiem. Zawsze się tego okropnie wstydzilem.

- Wyciąłem w powietrzu hołubca.

Na kolację wybrałem elegancką restaurację w śródmieściu. Posadzono nas przy dwuosobowym stoliku, w przytulnej niszy, oddzielonej ścianką od głównej sali.

- Kto od kogo odszedł? - spytała Anna przy deserze.

- Ona ode mnie.

- Dlaczego?

- Bo przejrzała mnie na wylot.

- Uuu... Fatalnie.

Od pewnego czasu przez gwar sali przebijały się strzępki rozmowy dwóch mężczyzn. Rozmawiali swobodnie, dosyć głośno, toteż momentami słyszeliśmy ich bardzo wyraźnie. Początkowo nie zwracaliśmy na to uwagi, aż tu nagle...

- Nie, nie i jeszcze raz nie. Anna Scott nigdy by mi się nie znudziła - powiedział gość tubalnym głosem.

Spojrzeliśmy po sobie.

- Nie podobał mi się jej ostatni film. Zasnąłem już po kilku sekundach - odpowiedział drugi, sepleniąc z lekka.

Anna zabawnie zmarszczyła brwi.

- Mnie tam nie interesuje fabuła czy walory artystyczne filmu, ważne, żeby ona w nim grała - nie ustępował tubalny.

- To nie mój typ. Bardziej już podoba mi się ta, no jak jej tam, taka słodka blondynka; dostaje orgazmu, za każdym razem kiedy facet zaprosi ją na kawę - wyznał sepleniący.

- Meg Ryan - bezgłośnie poruszyła wargami Anna.

- Meg Ryan - odpowiedział usłużnie tubalny. Zaczynaliśmy się nieźle bawić...

- O, właśnie. Słyszałem, że épa. Jeśli się nie mylę, to właśnie jest na detoksie - ciągnął sepleniący.

- Być może. Wyglądała na taką - zgodził się tubalny.

Anna oblała się rumieńcem, w rękę nerwowo miała serwetkę.

- Niektóre dziewczyny - perorował tubalny - trzymają facetów na dystans, bez kija nie pod-

chodzi. Ale Anna, aż się do nich rwie - tyle ci powiem. Czy wiesz, że w połowie wszystkich języków świata na określenie „aktorki” i „prostytutki” używa się tego samego słowa. Anna jest prawdziwą aktorką - sprośną dziwką, którą...

- Dobra. Dostyc tego. - Zerwałem się z krzesła. Anna siedziała skulona, z głową opartą na rękach.

Przy okrągłym stole za ścianą siedziało czterech obłeśnych typów. A zatem tubalny i sepleniący mieli swoją publiczność, a nie tylko przypadkowych słuchaczy. Pięknie. Pochłonięci rozmową i orientalnym żarciem nie zauważyli mojej obecności.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

Jak na komendę odwrócili się moją stronę.

- Słucham, w czym mogę panu pomóc? - spytał tubalny, jak się okazało, najstarszy z całej czwórki.

Obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem. Fakt, wyglądał na osiłka; z takim jak ja poradziłby sobie jedną ręką.

- Przypadkowo słyszałem rozmowę panów, choć szczerze mówiąc, wolałbym jej nie słyszeć. Osoba, o której panowie mówili jest człowiekiem, żywą istotą z krwi i kości, i jako taka zasługuje na szacunek. A już na pewno nie powinny jej osądzać takie zaślinione, obłeśne szmondaki jak wy...

- Spadaj na drzewo, koleś. Kim ty jesteś, jej tatusiem? Obrońca się znalazł.

Wtem poczułem lekkie szarpnięcie. Anna energicznie wzięła mnie pod rękę i szybko wyprowadziła z sali.

- Głupio wyszło; niewiele zdziałałem.

- Wiele. Jestem ci bardzo wdzięczna. Przez chwilę sama chciałam do nich pójść. Właściwie... Poczekaj tu na mnie.

Odgarnęła włosy do tyłu i pomaszerowała prosto do stolika tych gnojków. Na wszelki wypadek pobiegłem za nią.

- Witam panów.

- Wielki Boże. - Tubalnemu oczy wyszły na wierzch.

- Przepraszam za mojego przyjaciela, to człowiek bardzo delikatny i wrażliwy.

- To ja powinienem.... - Tubalny niezdarnie gramolił się z krzesła.

- Proszę, nie wracajmy do tego. Niech pan siada. Jestem pewna, że panowie nie chcieli nikomu wyrządzić krzywdy, to przecież były tylko takie przyjacielskie rozmówki, nieprawdaż? Jestem również pewna, że macie fiuty nie większe od fistaszków. Rozmiar pasujący do objętości waszych mózgów. Życzę smacznego. Polecam tuńczyka, jest wyśmienity. Żegnam.

- Kutas - syknął sepleniący do tubalnego.

- Nie powinnam była tego robić. Nie powinna
- powtarzała, kiedy znaleźliśmy się w holu.

- Postąpiłaś właściwie, należało się tym palantom.

- Nieprawda. Jestem impulsywna i głupia. Popatrz tylko, co ja robię, chociażby tobie... -
urwała.

- Tego nie wiem. A co robisz? - Moje serce galopowało bez opamiętania.

- W tym sęk, że ja też nie wiem - powiedziała bezbarwnym głosem.

Pomilczała chwilę, ważąc coś w myślach. Nagle jej twarz się ożywiła; oczy nabrały blasku, na ustach pojawił się ciepły uśmiech. Kiedy przemierzała hol, w jej postawie było jakieś zdecydowanie, by nie powiedzieć - determinacja.

Przed kolacją Anna odesłała samochód. Restauracja znajdowała się niedaleko „Ritza”, jazda do hotelu trwałaby dłużej niż przejście tych kilkuset metrów piechotą. Ze strony fanów raczej nic jej nie groziło, o tej porze bowiem na ulicach było tłoczno - wystarczyło się wtopić w tłum. A z tym nie było problemu: skromny strój Anny i ledwie widoczny makijaż stanowiły doskonały kamuflaż. Szybko odzyskała humor; stroiła miny, drwiła, że odtąd moja była żona zacznie mnie nękać telefonami, a kto wie - może po sprzeczce z George'em o fryzurę, zechce do mnie wrócić. By-

liśmy tak zajęci sobą, że o mały włos nie przegapiliśmy „Ritza”.

- No to jesteście. Chcesz wejść na górę?

- Chciałbym, ale rozsądek podpowiada mi tysiące powodów, dla których nie powinienem.

- Bo są tysiące powodów. Odpowiedz na pytanie: chcesz wejść? - Zajrzała mi w oczy. - Daj mi pięć minut.

Odczekałem, ile trzeba, co chwila spoglądając na zegarek i zapukałem do apartamentu. Uchyliła drzwi do połowy, blokując ciałem wejście. Zachowywała się dziwnie, stała w progu, jakby nie zamierzała zaprosić mnie do środka. Czyżby się rozmyśliła? Przeraziła ją perspektywa spędzenia intymnego wieczoru z przygodnie poznanym zwykłym facetem? Zaraz jej przejdzie.

- Już jesteś - powiedziała ściszym głosem.

- Jestem - szepnąłem, całując ją w policzek. - Nie mogłem się doczekać tej cudownej chwili.

- Widzisz... Nie mogę cię zaprosić do środka - nerwowo obejrzała się przez ramię.

- Dlaczego? Co się stało? - spytałem miękko.

- Bo zamiast siedzieć w Ameryce, Jeff - to znaczy mój chłopak - jest tutaj, w pokoju obok.

- Twój chłopak? - wykrztusiłem zszokowany.

- Uhm. - Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

- Kto przyszedł? - odezwał się męski głos z głębi apartamentu.

- Eee... Obsługa - pośpieszyłem Annie z pomocą.

W tym momencie go zobaczyłem - i poznałem. Wielki, najbardziej kasowy gwiazdor ostatnich lat, bohater kina akcji; w sumie niezły aktor. Jeśli wierzyć kobietom - zabójczo przystojny. Szcupły, muskularny, z lekkim zarostem, rzeczywiście wyglądał bardzo męsko. Wyszedł do mnie na bosaka, zapinając sportową koszulę. Dżinsy leżały na nim świetnie, smoking pewnie też.

- Dzień dobry. Pan jest w garniturze? - zdziwił się lekko. - Myślałem, że wszystkich ludzi z obsługi obowiązuje strój pingwina.

- W pracy - tak, ale moja zmiana już się właściwie skończyła. Koledzy są zajęci, więc postanowiłem przyjąć zamówienie do pani.

Wkopałem się po uszy, zresztą nie pierwszy raz od poznania Anny. Jakieś fatum, czy co?

- Świetnie się składa. Mam do pana ogromną osobistą prośbę: proszę nam przynieść butelkę zimnej wody mineralnej - naprawdę zimnej, wie pan, prosto z lodówki.

- Postaram się.

- Niegazowanej.

- Służę panu; niegazowana, prosto z lodówki.

- O ile brytyjskie prawo nie zabrania podawania napojów o temperaturze niższej od pokojowej;

Richard Curtis

nie chciałbym, żeby z powodu moich kaprysów trafił pan do więzienia... - Facet był naprawdę miły.

- Proszę się nie obawiać.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan uwolnił nas od brudnych naczyń i opróżnił kosze?

- Oczywiście, w tej sekundzie. - Do jednej ręki wzięłam dwa talerze, drugą uniosłam kosz.

- Proszę zostawić ten kosz - odezwała się Anna - przecież to nie należy do pana obowiązków.

- Przepraszam, nie wiedziałem - mitygował się Jeff. - Ale pan się nie obrazi...?

- Nie ma o czym mówić. Zabiorę śmieci.

- Jak panu na imię? - Sięgnął do kieszeni dzinsów.

- Eee... Bernie.

- Dziękuję, Bernie. - Zręcznym ruchem wcisnął mi do kieszonki pięciofuntowy banknot; ludzki pan!

- Zrobiłem ci niespodziankę, co? - zwrócił się do Anny, obejmując ją w pasie. - Miłą czy niemiłą?

- Miłą, oczywiście, że miłą - przytulona do Jeffa, zerknęła na mnie z rozpaczą w oczach.

- Ty kłamczucho. - Pocałował ją w usta. - Nie-nawidzi niespodzianek - rzucił w moją stronę tonem wyjaśnienia. - Co zamawiałaś?

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odrzekła, tym razem unikając mojego wzroku.

- Tylko nie przesadzaj. Nie życzę sobie, żeby na nasz widok ludzie szeptali: „O, to ten słynny aktor ze swoją obrzydliwie tłustą dziewczyną” - powiedział lekkim tonem i wyszedł, zdejmując po drodze koszulę.

- Chyba już pójdę. - Anna w milczeniu skinęła głową. - Zderzenie z realiami życia źle na mnie podziało. Jeśli mam być szczery, nie wiedziałem...

- Przepraszam... Naprawdę brak mi słów, nie wiem, co powiedzieć.

- Myślę, że wystarczy tradycyjne „żegnaj”.

I to było na tyle w temacie snów. Tylko w bajkach piękne królewny wybierają drwali.

Radosny tłum na ulicy wydał mi się obcy i wrogi. Ci ludzie dokądś szli, mieli jakiś cel - ja nie wiedziałem, co ze sobą począć. Bóg jeden wie, jak dojechałem do domu. Pamiętam tylko, że napiwek od Jeffa wrzuciłem do kapelusza ulicznego grajka, i że przez całą drogę prześladowała mnie twarz Anny, migająca w ulicznych światłach. Cholerne plakaty!

Zamknąłem się w swoim pokoju. Tłukłem się jak zwierzę w klatce; a to siadałem na łóżku, a to opuszczałem i podnosiłem rolety. Na biurku leżały okulary i jakaś kartka. Jak automat wyjąłem maskę z wewnętrznej kieszeni marynarki i na jej miejsce włożyłem okulary. Postąłem chwilę przy oknie i wybiegłem z domu.

Bilet dostałem bez problemu; w sali kinowej było sporo wolnych miejsc. „Helisa” - film bez koni i psów gończych. Z Anną w roli dowódcy statku kosmicznego. Poważną, skupioną, pewną siebie. Nawet do twarzy jej w białym skafandrze i krótkiej peruce. Jest piękna - i należy do innego świata.

Noc minęła na przewracaniu się z boku na bok. Błędym świtem próbowałem zracjonalizować całe zdarzenie, z mizernym efektem, niestety. Tłumaczyłem sobie, że w zasadzie nie stało się nic strasznego - nikt nie umarł, oboje popełniliśmy błąd, czas leczy rany i tak dalej. Pozostawało jedno pytanie: dlaczego Anna nie powiedziała, że jest z kimś związana? Odpowiedzi mogło być mnóstwo, rozważałem wszystkie, ale moje myśli krążyły wokół jednej: byłem dla niej krótką przygodą, lekarstwem na nudę. Z jednej strony brakowało w tym logiki; Anna nie zachowywała się jak ktoś, kto mógłby świadomie skrzywdzić człowieka. Z drugiej zaś, wszystko trzymało się kupy: była aktorką, i to wcale nie taką złą, za jaką się uważała.

Próby rozwijania tego wątku wpędzały mnie w coraz większe przygnębienie. I wtedy przypomniałem sobie radę jakiejś ciotki, że najlepszym sposobem na wyjście z otępienia są proste czynności. Zacząłem od kawy - myśli wciąż krążyły wokół Anny. Potem siadłem do telefonu; musia-

lem uprzedzić Martina, że nie przyjdę dzisiaj do księgarni. Zmyśliłem historię o jakichś nie cierpiących zwłoki sprawach, pogadaliśmy chwilę o interesach i poczułem się jakby lepiej. Na biurku obok telefonu leżała kartka; poznałem pismo Spike'a - a więc wziął sobie do serca prośbę o zapisywanie wszystkich wiadomości. „Postaraj się nie gubić okularów na kanapie. Mam delikatną skórę i po dłuższym siedzeniu na twardych przedmiotach dostaję siniaków - S”.

- Stary! Daj spokój. - Spike zabębnił palcami w drzwi. - Otwórz i wygadaj się przed kumplem. Od rana odczuwam jakieś niepokojące wibracje. Coś się stało?

Nie miałem ochoty z nim gadać, ale wiedziałem, że się nie odczepi. Jednym spojrzeniem zlustrował mnie i pokój. Widocznie nic nie wzbudziło jego podejrzeń, bo swoim zwyczajem usadowił się na poręczy fotela. Z zatroskaną miną patrzył na mnie wyczekująco. Co tam! Zanim opowiem o wszystkim Maksom, mogę się wyzalić przed Spike'em. A nuż mi trochę ulży.

- Słuchaj - zacząłem niepewnie - chodzi o tę dziewczynę...

- Tak czułem. Niepokojące wibracje były rodzaju żeńskiego. Przyjacielu, nie mogłeś lepiej trafić! Nawijaj.

Richard Curtis

- To nie jest jakaś tam dziewczyna... To ktoś... Wszystko wskazuje na to, że nie będziemy razem. Czuję się tak, jakbym wziął działkę jakiegoś dra- ga, takiej heroiny, po której człowiek się zakochu- je, a potem mi ją na zawsze odebrano. Otworzy- łem puszkę Pandory i napytałem sobie biedy.

Spike pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak... to delikatna sprawa... i bardzo zawi- ła... w szkole znałem jedną Pandorę... ale nigdy nie widziałem jej puszeki - zarechotał.

- Dzięki, stary. Bardzo mi pomogłeś.

Casting

Spiskowali za moimi plecami: Tony, Maksowie, Bernie, Honey i chyba nawet Spike. Odkąd dowiedzieli się o Jeffie, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, umawiali się na spotkania wtedy, kiedy ja byłem zajęty, wieczorami pewnie naradzali się przez telefon - jakbym to widział. I co tu kryć - byłem im wdzięczny. Za to, że zamiast się rozczulać nade mną - błaznowali, że nie wściekali się, kiedy kolejny raz opowiadałem o spotkaniu z Jeffem, że w ogóle mnie znosili.

Po kilku dniach tajemniczych narad i szeptów uknuli plan. O wszystkim dowiedziałem się w siedzibie sztabu kryzysowego, za którą z braku lepszego miejsca służyła knajpa Tony'ego. Gości było niewiele, więc mieliśmy dla siebie cały kąt przy pianinie. Czekali na mnie w komplecie; Max rozmawiał z Tonym, żywo gestykułując, Bella i Honey pochylały się nad gazetą, którą czytał

Bernie. Siadłem na wolnym krześle, przelotnie rzucając okiem na tytuły. Na pierwszej stronie „Evening Standard” informował czytelników o dwóch wydarzeniach niezwykłej wagi: strajku pracowników metra i odlocie do Stanów Anny Scott. Jej zdjęcie z Jeffem zajmowało prawie jedną czwartą kolumny.

- Ty naprawdę nie wiedziałeś, że ona ma chłopaka? - spytał Max, pukając palcem w zdjęcie.

- Naprawdę. A ty wiedziałeś?

Wiedział. Wszyscy wiedzieli, wystarczyło spojrzeć na ich miny.

- Kurczę blade. Jakoś nie mogę się pogodzić z myślą, że zrujnowałem sobie życie tylko dlatego, że nie czytam magazynu „Halo”.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. To twoje zauroczenie od początku nie miało żadnej przyszłości. Anna jest boginią, a wiesz co spotyka śmiertelników, którzy ośmielają się podnieść oczy na bogów?

- Straszliwa kara?

- Tak jest. Ale nie rozpaczaj, znaleźliśmy sposób na rozwiązanie twoich problemów - zakomunikował radośnie. - Ma na imię Tessa, pracuje w dziale kontraktów mojej firmy. Lojalnie cię uprzedzam, że włosy ma skręcone trwałą na baranka, co podobno już wyszło z mody, ale jest bystra i całuje jak nimfomanka oczekująca w celi

Notting Hill

śmierci na wykonanie wyroku. Nie patrz tak na mnie Bella, powtarzam tylko opinie kolegów.

A więc to był ich tajemniczy plan! Obawiam się, że w moim przypadku homeopatia nie jest właściwą metodą - pomyślałem. Patrząc na zdeterminowane miny spiskowców i swadę, z jaką Max „referował” kolejne punkty, doszedłem do wniosku, że moje protesty nic by nie dały. Pomyśleli o wszystkim: znaleźli kandydatki - oprócz Tessy skaperowali jeszcze trzy dziewczyny, zadbali o reklamę moich zalet, starannie ukrywając wady, i opracowali grafik spotkań. Rolę gospodarzy spotkań, jak kto woli - swatek, wzięli na siebie Maksowie. Spotkania miały się odbywać w ich domu, mój, jak twierdzili, mógłby odstraszyć kandydatki.

Doceniałem ich starania, ale na samą myśl o tym, że przez cztery wieczory mam zabawiać rozmową, a dokładniej mówiąc - podrywać nieznaną kobietę pod czujnym okiem Maksów, dostawałem gęsiej skórki. Chyba znowu coś wyczuli, bo na spotkanie z Tessą doprowadził mnie Bernie. Czekaliśmy na pierwszą kandydatkę, dla kurażu popijając w kuchni wino. Kiedy odezwał się gong, podskoczyłem nerwowo.

- Spokojnie, nikt cię do niczego nie zmusza, ale chociaż spróbuj. No, weź się w garść. - Maks poklepał mnie po ramieniu i poszedł otworzyć drzwi.

Richard Curtis

- Przepraszam za spóźnienie, zablądziłam. Niełatwo do was trafić. Szału można dostać z tymi nazwami; dookoła same Kensingtony - Kensington Park Road, Kensington Gardens, cholerne Kensington Park Gardens... - mówiła nieco piskliwym głosem.

Sterczące na wszystkie strony kasztanowe łoczki zabawnie podrygiwały, jakby żyły własnym życiem. Miała sympatyczną, skorą do śmiechu buzię z dołeczkami w policzkach. I kilka kilogramów nadwagi. Nawet bym tego nie zauważył, gdyby nie błękitny zakiet i także minispódniczka, ściśnięta w talii szerokim paskiem.

- Pozwól Tesso, to jest moja żona, Bella.

- Dobry wieczór. O, pani jeździ na wózku - zaszczebiotała.

- Tak się złożyło. - Bella uśmiechnęła się blado.

- A to jest William.

- Cześć. Max wszystko mi o tobie opowiedział.

- Naprawdę? - przeraziłem się nie na żarty; Max czasami bywał nieobliczalny.

- Napijesz się wina?

- Poproszę. Ubzdryngolimy się, chcesz, Willie?

- Dała mi kuksańca w bok.

Kiedy sięgała po kieliszek, rzuciłem Belli spojrzenie pełne paniki. Lekko skinęła głową i odwróciła kciuk do dołu.

Na drugie spotkanie przyszedłem sam. U Maksów zastałem Honey, co wskazywałoby, że to ona naraiła kolejną kandydatkę. Dziewczyna miała na imię Keziah, przeciętną urodę, zabawne kucyki i korale z bursztynu. Kolację przygotował Max; uznał, że może przy okazji wypróbować rewelacyjny ponoć przepis na bekasa w jarzynach.

- Który kawałek sobie życzysz? - spytał, podsuwając Keziah półmisek.

- Dziękuję, jestem frutarianką.

- Och, nie wiedziałem. - Na twarzy Maksa malował się zawód.

Celnym kopniakiem w piszczel wyrwał mnie z zamyślenia. Uznał, że powinienem się włączyć do rozmowy, dotychczas bowiem wydawałem tylko nieartykułowane dźwięki o różnym zabarwieniu.

- Aaa... co to właściwie znaczy?

- My, frutarianie, uważamy, że owoce i warzywa należą do istot żywych, gotowanie sprawia im ogromny ból i jest okrutne. Zjadamy tylko te, które spadną z drzewa lub krzewu, bo one i tak są już są martwe.

- Ciekawe. Bardzo ciekawe... Zatem te marchewki...

- Zostały zamordowane.

- Zamordowane? Biedne marchewki. Jesteś oprawcą, Max!

Mam odprawiać pokutę po zjedzeniu sałatki? Niedoczekanie! Keziah podzieliła los Tessy.

Kolejną kandydatkę wynalazł Bernie. Klasyczną blondynkę o imieniu Caroline i nienagannyh, jak twierdził, manierach.

- Gotowi do deseru? - Max zebrał talerze i wyszedł. - Moje dzieło, bo resztę przygotowała Bella. Jest pudding na ciepło i lody - dziarsko pokrzykiwał z kuchni.

Nagle rozległ się potworny brzęk, któremu towarzyszyło stłumione przekleństwo.

- A mogą być same lody? - spytał zgaszonym głosem.

- Lubisz lody, Caroline?

- Jeszcze jak! - Caroline puściła do mnie oko.

- Powiedz mi, co robisz? - zwróciłem się do Caroline.

- Przykro mi, że nie z tobą - odparła z kokieteryjnym uśmiechem.

- Co robisz zawodowo, gdzie pracujesz?

- Słucham? Ach, o to ci chodzi. Jasne, przepraszam, no tak. Aha. Eeee, rozumiem. Pytałeś o pracę. Uczę.

- Wspaniale. Jaki wiek?

- W czerwcu skończę 28 lat.

- Tak. A ile lat mają twoi uczniowie?

- Oooh... - zagruchała - znowu nie trafiłam. Przepraszam. Mózg mi ukradli, czy co? Pewnie

wygarnęli dużą zieloną łyżką. Wybacz, zapomniałam o co pytałeś?

- W jakim wieku są dzieci, twoi uczniowie?

- Ja nie uczę dzieci, tylko psy. W różnym wieku.

- Absolutna klasyka gatunku - mruknąłem pod nosem.

- Coś mówiłeś? Nie dosłyszałam.

- Mówiłem, że to trudny zawód.

Tessa, Keziah, Caroline - trzy strzały, trzy pudła. Spiskowcom zrzędy miny - ja odetchnąłem z ulgą. Nie miałem ochoty wiązać się na stałe i na szczęście nie musiałem się z tego tłumaczyć. Sami widzieli, że nie wybrzydzam.

Na ostatnie spotkanie szedłem w doskonałym nastroju. Nie straszny mi był nawet obiecany przez Maksa pieczony udziec jagnięcy. Od jutra mam wolne - i tylko to się liczy.

Widok dziewczyny przyprawił mnie o zawrót głowy. Psiakostka, skąd oni ją wytrzasnęli? Piękna, elegancka, by nie powiedzieć - wytworna, i bardzo kobieca. Przyszła w czarnej wieczorowej sukni z dekoltem na plecach - wyglądała zjawiskowo. Miała na imię Rosie. Rozmowa toczyła się gładko, ani się obejrzeliśmy, jak zrobiła się noc.

- Wspaniała kawa - powiedziała; miała niski głos o ciepłej barwie.

- Dziękuję. Przykro mi, że ten udziec tak ja-
koś... - zaplątał się Max.

- Moim zdaniem smakował naprawdę... oryginalnie - Rosie lekko się uśmiechnęła.

- Po co te eufemizmy? Powiedz, że był niejadalny - wtrąciłem.

- Naprawdę niejadalny. - Popatrzyła na Maksa przepraszająco.

Z poprzednimi kandydatkami wolałem nie zostawać sam na sam; kiedy odprowadzałem je do drzwi, Max odgrywał rolę przyzwoitki. Teraz dałem mu wolne.

- Może się jeszcze kiedyś spotkamy? - spytała, gdy wyszliśmy na korytarz.

- Tak. Byłoby... wspaniale.

Na pożegnanie delikatnie pocałowała mnie w policzek.

W saloniku Max sadowił Bellę na sofie; złożony wózek stał oparty o schody. Bez słowa usiadłem obok niej.

- No i co?! - niecierpliwił się Max.

- Idealna, zachwycająca.

- A więc? - naciskała Bella.

Westchnąłem, wznosząc oczy ku górze. Co im powiedzieć?

Cieszyli się, że znaleźli dla mnie taką wystrzałową dziewczynę, a mnie ta ich radość trochę irytowała...

Notting Hill

- Musimy sobie coś wyjaśnić... Odnoszę wrażenie, że zapomnieliście, co jest w tym wszystkim najważniejsze. A najważniejsza jest miłość, prawda? Szanse znalezienia kogoś, kogo my pokochamy i kto pokocha nas, zawsze są niewielkie, a co dopiero w takiej sytuacji. Znacie mnie przecież: jeśli nie liczyć... tej Amerykanki, w całym moim życiu kochałem tylko dwie kobiety, i za każdym razem z katastrofalnym skutkiem.

- To już przesada! - zaproponował Max.

- Żadna przesada, popatrz tylko: jedna za mnie wyszła i czym prędzej rzuciła, a druga - wydawałoby się mądra i rozważna - ni stąd, ni zowąd poślubiła mojego najlepszego kumpla.

- Ale wciąż cię kocha - powiedziała Bella po chwili.

- Platonicznie, niestety.

- Prawdę mówiąc, niespecjalnie lubiłam się z tobą kochać...

Przez dobrą chwilę skręcaliśmy się ze śmiechu.

- Kochałam cię - ciągnęła, ocierając łzy. - Byłeś taki zabawny. Ale to całowanie w uszy...

- Zamilcz kobieto, bo napytasz sobie biedy. Jak tak dalej pójdzie, zostanę u was na zawsze.

- Chcesz przenocować? - spytała Bella.

- Czemu nie? W domu czeka na mnie tylko pewien Walińczyk-onanista.

Max wziął Bellę na ręce i poniósł na górę.

Richard Curtis

Położyłem się na kanapie w ubraniu, żeby sobie przemyśleć kilka spraw, i nie wiedzieć kiedy usnąłem. Rano w domu panował zwykły ruch: Bella i Max w pośpiechu zjedli śniadanie, spakowali papiery do teczek i pojechali do pracy. Chłonałem atmosferę prawdziwego domu; rzucane w biegu pytania o krawat i klipsy, które gdzieś się zapodziały, o to, z kim zjedzą dzisiaj lunch. Miło jest pocałować kochaną osobę przed wyjściem do pracy. Ciekawe, czy wiedzą, jacy z nich szczęściarze.

„To ona!“

O tym, że psia smycz bywa narzędziem przymusu, wiedziałem od czasów szkolnych. Do dziś pamiętam radę kolegów znających sprawę z auto-psji: skórzaną lub plastikową smycz należy trzymać poza zasięgiem ręki rodziców, zwijana automatycznie jest niegroźna. Osobistych doświadczeń nie miałem z powodu braku psa - aż do dzisiaj, kiedy to smycz wystąpiła we wspomnianej roli, i w zasadzie na tym kończy się podobieństwo zdarzenia z przypadkami moich kolegów.

Nie była to byle jaka smycz, lecz skomplikowana konstrukcja, składająca się z głównej linki, z której mniej więcej w połowie odchodziło pięć krótszych. Każda z nich była indywidualną smyczką pieska, przedstawiciela innej rasy. Mimo wysiłków nie udało się ominąć towarzystwa i po chwili pięć linek ciasno oplatało moje nogi. Psy jazgotały jak opętane, ich właściciel czynił nad-

ludzkie wysiłki, by mnie od nich uwolnić, smycze jednak trzymały mocno, a psy obracały mnie to w jedną, to w drugą stronę. Przy kolejnym obrocie stanąłem przodem do stojaka z prasą, incydent wydarzył się bowiem w sąsiedztwie sklepiku z gazetami. SCOTT ODKRYWA NIEZNANE ŁĄDY; TO ONA!; CUDOWNA ANNA - krzyczały gigantyczne tytuły plotkarskich piśmideł. Psy odpłatane od moich nóg już dawno powiodły właściciela na spacer, a ja nie ruszałem się z miejsca, zaskoczony, ba! - przerażony moją reakcją. Plakaty zdjęto z autobusów jakiś czas temu, co znacznie przyspieszyło powrót do jakiej takiej równowagi. Sądząc po trzepocie serca na widok jej zdjęcia, bardzo kruchej. U Maksów mówiłem o Annie „ta Amerykanka”, o mojej miłości - w czasie przeszłym; nie odstawiałem chojraka, wierzyłem, że rekonwalescencja przebiega pomyślnie. Teraz musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: nie ma czasu przeszłego, choć czas terażniejszy niczego nie zmieniał w kwestii przyszłości - moja miłość do Anny nie miała żadnej szansy na przyszłość.

Powlokłem się do domu, snując gorzkie refleksje nad paradoksami życia i słabością ludzkiego charakteru. Piękny początek dnia, nie ma co! Cisnąłem na łóżko pomiętą koszulę i poszedłem do łazienki się ogolić. Ledwie namydliłem twarz, u drzwi wejściowych zadźwięczał dzwonek. Od-

czekałem chwilę - niech Spike otworzy. Nic z tego; z dołu wciąż dochodziło na przemian stukanie i dzwonek. Wściekły zbiegłem na dół, ścierając po drodze piankę i szarpnąłem drzwi, o mało nie wyrwując ich z zawiasów.

- Cześć. Mogę wejść?

- Proszę.

Anna! Ledwo ją poznałem. Wielkie okulary słoneczne zasłaniały jej pół twarzy, włosy potargane, sweter powyciągany na wszystkie strony - uciekła z pożaru, czy co? W saloniku ciężko opadła na sofę. Kiedy zdjęła okulary, po raz pierwszy zobaczyłem jej nagą, prawdziwą twarz - bez makijażu też była piękna. Od progu mówiła o jakichś zdjęciach, ale nie bardzo rozumiałem o co jej chodzi. Dopiero kiedy histerycznym tonem zaczęła pomstować na wścibstwo brytyjskich szmatławców, przypomniałem sobie dzisiejszą przymusową prąsówkę.

- To było wieki temu. Pozowałam - wiem, że to było... cóż, tak się w życiu zdarza; wiele dziewczyn zrobiło to przede mną z tego samego powodu - z biedy, byłam wtedy w strasznym dołku... oczywiście, to mnie nie usprawiedliwia... ale... Jakby tego było mało, teraz wyszło na jaw, że ktoś mnie wtedy filmował z ukrycia. Tym sposobem głupia sesja zdjęciowa wygląda jak film porno... ten film sprzedano i zdjęcia są w każdym bru-

kowcu. - Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła oczy. - Nie miałam dokąd pójść. Hotel jest obleżony - załkała.

- To jest właściwe miejsce - powiedziałem z przekonaniem.

- Dziękuję. Przyjechałam do Londynu tylko na dwa dni, ale przez waszą prasę, to najgorsze miejsce na ziemi. - Skrzyżowała ramiona w obronnym geście.

- Te zdjęcia są okropne... takie ziarniste. Wyglądam na nich, jakbym...

- Daj spokój zdjęciom. Coś wymyślimy. Co byś chciała na początek - herbatę, gorącą kąpiel...?

- Kąpiel, tak, gorącą kąpiel...

Głupie zdjęcia to jeszcze nie koniec świata. Swoją drogą, żeby w takiej chwili załamywać ręce, że się na nich fatalnie wyszło... Ot, kobieca próżność. Robiąc herbatę, zastanawiałem się nad sensownym wyjściem z tej sytuacji. Naiwny idiota! „Coś wymyślimy” - tylko co, u diabła! Przez dwa dni może się tutaj przyczaić, ale przecież nie przyjechała do Londynu na wycieczkę. Z pewnością ma jakieś spotkania, więc prędzej czy później będzie musiała wyjść z domu. Sępy ją namierzą jak amen w pacierzu, i nie odpuszczają; w takich sprawach są bezkonkurencyjni. Dom ma tylko jedno wyjście - będą tu koczowali do upadłego. Nagle doznałem olśnienia - Jeremy! Jeremy, Ka-

ren i kto tam jeszcze. My ze Spike'em zapewnimy jej kryjówkę, a specjaliści od mediów niech się zajmą resztą...

Na schodach rozległ się straszliwy rumor. Wy-skoczyłem z kuchni przerażony, że Anna potknęła się o jakieś graty, ale to tylko Spike sadził susami po kilka stopni naraz. Do domu wszedł za to bardzo cicho; nawet nie zauważyłem, kiedy wrócił.

- Stary, ale bomba! - wydał stłumiony okrzyk, sadowiąc się na blacie. - Czytałeś dzisiejsze gazety? Widziałeś, co piszą o tej twojej Scott?

- Masz na myśli brukowce?

- To są gazety, z których czerpię wiadomości o świecie - powiedział z godnością. - Nieważne. Czytam sobie, czytam, aż tu łać mi się zachciało. Pędzę do łazienki, odsuwam zamek w dżinsach i nagle słyszę: „Ty jesteś Spike, prawda?” Mało mi mocz nie poszedł uszami. Odwracam się, a w wannie - baba. Dałem dyla, ale coś mi zaświ-tało, że to ona, ta Scott. W gazetach pisało, że zniknęła, więc zajrzałem, żeby się upewnić. Ona - mur beton. Dobry Jezu, my to mamy szczęście, nie? - Wyszczrzył zęby, błyskając srebrnymi ko-ronkami.

- Spike, czy możemy porozmawiać poważnie?

- Jak, dajmy na to, Tony Blair z królową po śmierci Diany?

Richard Curtis

- Zaklinam cię, ani pary z ust. Nikomu, zgoda? Żeby nas nie dopadły te sępy.

- Jakie sępy?

- Dziennikarze z gazet, z których czerpiesz wiadomości o świecie.

- Aaa... Zgoda, ani mru-mru.

- Dzięki. A teraz grzej po jakąś pizzę, bo trzeba ją nakarmić. Dla niej weź wegetariańską.

Kąpiel niewiele pomogła, w każdym razie Anna nie wyglądała na zrelaksowaną. Na twarzy miała wciąż ten sam nerwowy grymas, ruchy kanciaste i niezborne. Chodziła po kuchni z kąta w kąt, bębniąc po meblach jakąś książką. Z wielkim trudem namówiłem ją na herbatę i grzanki.

- Bardzo mi przykro z powodu naszego ostatniego spotkania. On po prostu przyleciał, ot tak, bez uprzedzenia. Szczerze mówiąc, sądziłam, że będzie mnie raczej unikał - powiedziała, odkładając grzankę.

- Nie ma sprawy. Rzadko mam okazję uwalniać wielką gwiazdę z samego Hollywoodu od brudnych talerzy. Wstrząsające przeżycie, słowo daję - uśmiechnąłem się blado. - Co u niego sły-
chać?

- Nie wiem. I raczej mnie to nie obchodzi. Zapomniałam nawet, dlaczego w ogóle go kiedyś ko-
chałam. A... jak tam twoje sprawy... sercowe? -
spytała, spuszczać wzrok.

- Obawiam się, że odpowiedź będzie nieciekawa, więc dajmy temu spokój.

- Myślałam o tobie - powiedziała cicho.

- Proszę cię, tylko nie to - uciałem stanowczo. Nie chcę jałmużny, niczego od niej nie chcę!

- Dlaczego zawsze, kiedy staram się normalnie traktować drugiego człowieka, wszystko kończy się katastrofą?

- Nie mów tak. Miło, że o mnie myślałaś, naprawdę. - Odwróciłem w swoją stronę książkę, leżącą obok jej nakrycia. - Czy to scenariusz nowego filmu? - delikatnie zmieniłem temat.

- Tak. Zaczynamy we wtorek, w Los Angeles. - Anna ocknęła się z zamyślenia.

- Chcesz zrobić próbę dialogów? Mogę czytać pozostałe role.

- Naprawdę? Super! Ten film jest strasznie przegadany.

- Dawaj scenariusz. Główny wątek?

- Moja bohaterka jest wymagającym, ale piekielnie zdolnym oficerem. By uratować świat przez zagładą atomową, wystarczy jej dwadzieścia minut.

- Proszę, proszę.

Scenariusz przytłoczył mnie ogromem katalizmów i pseudowojskowym żargonem. Twardy wojskowy dryl i odwaga amerykańskich chłopców, mieszały się z ckliwymi aluzjami do naj-

świętszych wartości dla wszystkich Amerykanów. A wszystko to przyprawione sosem poprawności politycznej i zakończone happy endem, oczywiście. Anna co chwilę się myliła, ja cierpiałem jak potępieniec, słuchając wynurzeń ambitnego scenarzysty. Jak można się tego nauczyć na pamięć?

Metodą prób i błędów doszliśmy do wniosku, że najlepszym miejscem do czytania jest taras. Anna dużo chodziła, gestykulowała i co rusz obijała się o kuchenne meble. Zabraliśmy na górę dzbanek herbaty, rozmaite wiktuały do pogryzania i wygodne poduszki.

- „Z dowództwa pytają, czy powinni wysłać HK” - czytałem drewnianym głosem.

- „Nie. Proszę mi przynieść dane z czwartego satelity rekonesansu taktycznego i proszę im powiedzieć, że potrzebujemy namiarów radarowych przed powrotem KFT, czyli przed 19.00, a potem niech pan poinformuje Pentagon, że od 10.00 do 12.15 będziemy potrzebowali osłony czarnej gwiazdy” - i żebyś nie śmiał mi wypominać, ile razy się pomyliłam w tej scenie. Jeśli usłyszę choć słowo, wrzucę ci za kołnierz te oliwki. - Zamachnęła się miseczką.

- „Tak jest, kapitanie. Natychmiast przekażę” - czytałem, wczuwając się w rolę.

- „Dziękuję”. Ile razy się pomyliłam?

- Jedenaście.

- Cholera. „I jeszcze jedno, Wainwright...” - zadziwiła mnie łatwość, z jaką Anna przechodziła od prywatności do roli.

- Cartwright - podrzuciłem usłudze.

- „Cartwright, Wainwright, czy jak się tam nazywasz. Obiecałam Jimmy'emu, że wrócę na jego urodziny. Proszę powiadomić mój dom, że mogę się trochę spóźnić”.

- „Oczywiście. A co przekazać Johnny'emu?”

- Mój synek ma na imię Johnny?

- Tak tu napisano.

- To jego też proszę uprzedzić. Uff. - Oparła się rękami o stół i patrzyła na mnie wyczekująco.

- Wspaniale. - Zamknąłem scenariusz. - Powiedziałbym - bezbłędnie.

- Podobało ci się?

- Porywający tekst. Nie jest to wprawdzie Jane Austyn czy Henry James, ale ma w sobie coś porywającego.

- Myślisz, że zamiast tego powinnam zrobić coś według Henry'ego Jamesa?

- Jestem pewien, że świetnie byś sobie poradziła z prozą Jamesa. Ale ten scenarzysta też ma cholernie dobre pióro.

- Prawda? Żaden z bohaterów „Na skrzydłach gołębic” nie ośmieliłby się powiedzieć: „Niech pan poinformuje Pentagon, że będziemy potrzebowali osłony czarnej gwiazdy”.

- I dlatego proza Jamesa przegrywa z takimi tekstami.

Zaśmiała się, dźwięcznie, radośnie - po raz pierwszy tego dnia zobaczyłem, jak jej twarz się rozjaśnia, a w oczach pojawiają wesołe błyski.

Pomilczeliśmy chwilę, kontentując się błogim lenistwem. Świeże powietrze zaostrzyło apetyt - pora na pizzę, zdecydowałem. Kuchnia świeciła pustkami, Spike najwidoczniej gdzieś się zawie-ruszył.

- To wprost nie do wiary, że masz tę reprodukcję - powiedziała, przyglądając się plakatowi z obrazem Chagalla - „La Mariee”.

- Lubisz Chagalla?

- Lubię. On bardzo prawdziwie maluje miłość - tak powinni wyglądać zakochani. Płynąć po ciemnobłękitnym niebie.

- Z kozłem grającym na skrzypcach - ironizowałem, bo trochę irytowała mnie jej egzaltacja.

- A żebyś wiedział. Szczęście byłoby niepełne bez kozła grającego na skrzypcach.

Trzasnęły drzwi. Z korytarza dobiegł nas zapach pizzy. Nareszcie!

- *Voilà*. Oto „hawajski karnawał” dla królowej Notting Hill - podwójne peperoni i ananas - skłonił się z gracją.

- Fantastycznie - Anna nadrabiała miną.

- Czy ja ci przypadkiem nie mówiłem, że Anna jest wegetarianką?

Spike spłoszył się nieco. Obrzucił nas tępym spojrzeniem i z głośnym plaśnięciem puknął się w głowę.

- Zostało trochę duszonego pasternaku z zeszłego tygodnia. Pychota - trzeba tylko zdjąć skórkę - oznajmił z triumfem w głosie..

Skończyło się na tym, że Anna obdzieliła „hawajskim karnawałem” nas obu, zostawiając sobie ciasto. Po obiedzie Spike ulotnił się; „żeby nie przeszkadzać” - jak mi wyszeptał na stronie. Anna zwinęła się w kłębek na kanapie, popijając kawę, ja siadłem z gazetą w fotelu.

- Masz duże stopy - powiedziała nagle.

- Zawsze miałem większe od kolegów; jakoś szybko rosły.

- Wiesz, co mówią o mężczyznach z dużymi stopami? - spytała.

- Nie. - Spojrzałem na nią znad gazety. - A co mówią?

- Duże stopy - duże buty. - Oboje parsknęliśmy śmiechem.

Niezupełnie tak, ale zręcznie z tego wybrnęła.

Pod wieczór znów wyszliśmy na taras. Grzejąc się w promieniach zachodzącego słońca, pomyślałem, że tak będą wyglądały dwa następne dni. Góra - dół, klaustrofobiczna kuchnia i taras z wi-

dokiem aż po horyzont. Jakoś przeżyjemy, ważne, żeby Anna czuła się bezpieczna i w końcu przestała rozpamiętywać te cholerne zdjęcia. Niestety, metodą zaskakujących skojarzeń uporczywie do nich wracała.

- Szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że zdjęcia ukazały się akurat wtedy, kiedy zaczęłam stanowczo domagać się respektowania klauzuli o nagości. - Walnęła łyżeczką w miskę, rozpryskując lody, które zgodnie z jej życzeniem podałem na kolację; sam zadowolilem się jogurtem.

- Naprawdę masz w kontrakcie taką klauzulę? - Tajniki zawodu aktorskiego coraz bardziej mnie zadziwiała.

- Jasne, w każdym. „Zezwala się na filmowanie okolicy kości ogonowej, jednakże bez pokazywania w kadrze pośladków artysty. Wybór dublera do wyżej wspomnianych zdjęć musi być każdorazowo konsultowany z aktorem” - wyrecytowała jednym tchem.

- Masz dublerkę do scen z gołymi pośladkami?

A to dopiero! Muszę powiedzieć o tym Honey; „tyłeczki” jej ulubieńców są mało wiarygodne.

- Gdybym chciała, mogłabym mieć - powiedziała rzeczowym tonem.

- Czy miałabyś jakieś opory przed zatrudnieniem dublerki z nieco lepszą pupą od twojej?

- Żadnych. Wybrałabym ją bez wahania.

- Niesamowite zajęcie! Ciekawe, co taka osoba wpisuje do paszportu? Zawód - pupa Mela Gibsona.

- Wyobraź sobie, że Mel gra własną pupą. Zresztą, po co mu dubler? Pyszotka! - ze smakiem oblizwała łyżkę.

- Lody czy tyłek Mela Gibsona?

- Jedno i drugie - zaśmiała się łobuzersko.

Może to głupie, ale oboje staraliśmy się jakoś odwlec moment układania się do snu. Mówiąc językiem scenariusza technothrillerów, logistykę miałem już dopracowaną: Annie odstąpię swoją sypialnię, a sam prześpię się na kanapie w saloniku. Logistyka była jednak sprawą drugorzędną, o wiele bardziej moje myśli zaprzętał fakt spędzenia nocy pod jednym dachem z Anną. Co prawda, w oddzielnych sypialniach, niemniej bardzo blisko siebie.

- Dziwne, ale to był dobry dzień. Niespodziewanie dobry... Zważywszy na sytuację - powiedziała ciepło, kiedy odprowadziłem ją na górę.

- Cieszę się... cóż, czas do łóżka... to znaczy ja na kanapę, a ty do łóżka - siłilem się na lekki ton, chcąc rozluźnić napiętą atmosferę.

- Dobranoc. - Delikatnie musnęła ustami mój policzek i zamknęła drzwi.

O spaniu oczywiście nie było mowy. Leżałem w ciemnościach, czekając na nią. W myślach bla-

gałem ją, żeby przyszła, bo ja na pewno się nie ośmielę.

Brzydziłem się prostactwem, a gdybym poszedł na górę, stałbym się prostytutką, który nadużył pozycji gospodarza wobec osoby darzącej go zaufaniem. Anna może by mnie nie odtrąciła, rzecz jednak w tym, że do końca życia czułbym do siebie odrazę. Kochałem ją, czekałem i trochę się bałem... Wtem skrzyknęły schody, ktoś wszedł do saloniku.

- O Boże - westchnąłem. - To ty? - spytałem cicho.

- Tak, to ja - szepnął Spike. - Chciałem zamienić słówko.

Aż usiadłem z wrażenia; o mały włos, a byłbym się zdradził.

Nagi, jeśli nie liczyć skąpych slipów, rozczochrany jak strach na wróble, Spike przycupnął na brzegu kanapy.

- Nie chcę się wtrącać, to w końcu nie moja rzecz.... Ona zerwała ze swoim chłopakiem, prawda? - powiedział, ściskając ręce kolanami.

- Być może - powiedziałem obojętnym tonem; nie podobała mi się ta nocna wizyta.

- I ona jest tutaj, w twoim domu - ciągnął Spike.

- No, jest.

- I jakoś żeście się dogadali...

- Tak jakby - burknąłem.
- Myślę sobie, że to doskonała okazja, żeby... no... na mały numerek. Co sądzisz?
- Na miłość boską, Spike! - syknąłem przez zaciśnięte zęby. - Opamiętaj się, ona wpadła w tarapaty, a ty z takimi... - jęknąłem, bo zabrakło mi słów ze złości na tego jełopa.
- Dobra, rozumiem. Znaczy, ty uważasz, że to nieodpowiednia chwila. W porządku. - Klepnął mnie w kolano i wstał. - Nie obrazisz się, jeśli ja spróbuję?
- Spike! - Poderwałem się z kanapy.
- Dobra już, dobra. Spij - wymamrotał i powlókł się do drzwi.
- Pogadamy rano - starałem się go udobruchać.
- Może już być za późno, ale zgoda.
- I jak tu teraz usnąć? Psiakostka! Może powinienem się przenieść pod drzwi sypialni; kto wie, co Spike'owi strzeli do głowy. Siedziałem na kanapie, próbując zebrać myśli, gdy od schodów dobiegł szelest.
- Odwal się, do łóżka - warknąłem wściekle.
- Jak chcesz - szepnęła Anna.
- Matko jedyna! Istna komedia pomyłek.
- Nie, nie, zaczekaj - szeptałem gorączkowo, wyplątując się z kołdry. - Myślałem, że to Spike. Tak się cieszę, że to ty.

Jej sylwetka majaczyła w ciemnościach; podszedłem bliżej. Przytuliła się łagodnie i ufnie; trzymałem ją w ramionach jak kruchy, cenny dar.

Przepelniała mnie niewysłowiona czułość, taką, co miast zniewalać zmysły i czynić człowieka bezbronny, napelnia go siłą. Ująłem w dłonie jej twarz i patrzyłem w zachwycie. Ja, zwyczajny facet z Notting Hill, tuliłem w ramionach kobietę, którą chciałem kochać i chronić - jeśli mi na to pozwoli. Całowałem ją długo, zachłannie, jakby miała za chwilę zniknąć, rozplynać się we śnie.

Poznawaliśmy nasze ciała nieśpiesznie, leniwie. Moje wargi nie mogły się nasycić aksamitną gładkością jej ciała; dłonie błądziły po łagodnych zboczach pagórków, niespodziewanie spadały w doliny, ciekawe każdego sklepienia, każdego pulsującego źródła. Uczylem się Anny jak ślepiec, chłonąc zapach wanilii i migdałów, badając wargami twarz, piersi, wnętrze ud, dłonie i ramiona. Zanurzałem się w nią i płynąłem unoszony rozkoszą.

Zasnęliśmy osobno; rozdzieleni przestrzenią łóżka. Obudziło mnie delikatne dotknięcie - Anna szukała mnie, przysuwając się bliżej i bliżej, aż w końcu mnie objęła i przytuliła się całym ciałem.

- Czuję się dziwnie, powiedziałbym - surrealnie, że mogę oglądać cię naga.

Był przepiękny poranek. Leżeliśmy nago i, prawdę powiedziawszy, w tym momencie widziałem tylko połowę jej twarzy i stopy.

- Zapomniałeś, że ogląda je każdy, komu przyjdzie na to ochota - odrzekła z przekąsem.

- Wybacz, zupełnie zapomniałem o zdjęciach.

- Swoją drogą, ciekawe dlaczego mężczyźni tak reagują na widok kobiecego ciała? Zwłaszcza piersi - co w nich takiego interesującego?

- Jak by to powiedzieć...

- Mówię poważnie; przecież to tylko piersi. Gruczoły, które posiada połowa ludzkości...

- Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to nawet więcej. Chłopaki z Meatlof, na przykład, mają zupełnie niezłe...

- Jakieś takie... dziwaczne. KobiECE służą do karmienia mlekiem. Twoja mama je ma; widziałeś je tysiące razy, czym tu się podniecać?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Pozwól, niech zerknę - odchyliłem kołdrę - rzeczywiście, nie ma czym.

Parskała i kopała, a na koniec rzuciła we mnie poduszką.

- Rita Hayworth powiedziała kiedyś: „mężczyźni idą do łóżka z Gildą, a rano okazuje się, że to tylko ja”. Ty też się tak czujesz?

- Z Gildą? A kto to taki?

- Kobieta zmysłowa i piękna - najsłynniejsza rola Hayworth. Mężczyźni szli do łóżka z marzeniem, erotyczną fantazją, ale rano wracali do realnego świata, i nie byli nim zachwyceni. A ty jesteś? - spytała bez cienia kokieterii.

- Nigdy nie wyglądałaś piękniej niż teraz - powiedziałem z przekonaniem.

Była wyraźnie poruszona. Oparta na łokciach, przyglądała się sobie uważnie przez chwilę, po czym wyskoczyła z łóżka.

- Zaraz wrócę - mruknęła, narzucając moją koszulę.

Po kilku minutach przyszła z tacą, na której stały dwie filiżanki herbaty i talerzyk z grzankami.

- Śniadanie do łóżka, a raczej drugie śniadanie z lunchem - oznajmiła radośnie. - Mogę tu zostać dłużej? - spytała, moszcząc się na łóżku.

- Zostań na zawsze - uśmiechnąłem się nieśmiało.

- Kurczę, zapomniałam dżemu - powiedziała, odstawiając filiżankę. Nie zdążyła wyjść z sypialni, gdy na dole rozległ się dzwonek.

- Zobacz, kto to, a ja przyniosę dżem.

Zbiegłem na dół, zakładając po drodze bluzę. Ledwie uchyliłem drzwi, a już rozpętało się piekło. Przez kilka sekund stałem nieruchomo, ośle-

Notting Hill

piony błyskiem dziesiątków fleszów. Zwarty tłum napierał na klęczących fotoreporterów, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Las mikrofonów i obiektywy kamer telewizyjnych celowały prosto w moją twarz. Dom był dosłownie oblężony; od reszty świata oddzielał go szczelny kordon ludzi, wozów satelitarnych i samochodów osobowych. Zatrzasnąłem drzwi, z trudem łapiąc oddech.

- Kto to był? - Anna wychyliła się z kuchni.

- Lepiej nie pytaj - odpowiedziałem grobowym głosem.

- Co ty knujesz? - zaintrygowana pobiegła do drzwi, zanim zdążyłem ją zatrzymać.

Na sekundę do wnętrza wdarła się potworna wrzawa, potem rozległ się ostry trzask i wszystko ucichło.

- Na miłość boską! Daleś się sfotografować w tym ubraniu? - prześlizgnęła się wzrokiem po szortach i bluzie.

- Powiedz lepiej - bez ubrania.

- Jezu - wyszeptała ze zgrozą.

Odrętwiały opadłem na krzesło. Anna bez słowa podeszła do telefonu.

- Dzień dobry, gołąbeczki - błysnął koronkami Spike.

Drapiąc się po owłosionej piersi, zlustrował Annę od stóp do głów. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i uniósł do góry kciuk.

- Mówi Anna. Znaleźli mnie... Nie, na ulicy jest chyba z setka. Wygląda na to, że mój wspa-
niały plan jest do bani. - Ze słuchawki wylewał
się potok słów. - Tak, wiem, wiem - powiedziała
rozdrażnionym tonem - tylko mnie stąd zabierz.
Niech to szlag!

Pobiegła na górę, przeskakując po kilka stopni
naraz. Spike popatrzył za nią, dopóki nie zniknę-
ła w sypialni i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie otwieraj, nie wychodź - rzuciłem za nim
pośpiesznie.

- Dlaczego? - spytał z miną niewiniątka.

- Dobrze ci radzę - powiedziałem ostro; tylko
tego brakowało, żeby się im pokazał w samych
slipach.

Wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz.
Zaatakowali go jak stado rozjuszonych bestii, tyle
że w odróżnieniu od nas, Spike zafundował im
pełny spektakl. Poprawiwszy szare slipki, wyprę-
żył wątle, blade ciało w postawie kulturysty. Kry-
gował się jak panienka na pierwszym balu,
uśmiechał szeroko i pozdrawiał tłum gestem kró-
lowej. Kiedy obfotografowali go z każdej strony,
ukłonił się szarmancko i wolniutko cofnął do
środką. Zadowolony z występu, przystanął przed
lustrem w korytarzu.

- Nieźle, zupełnie nieźle - mrucał, prężąc
sflaczałe mięśnie. - Super, a już slipy wybrałem

Notting Hill

znakomite; laski lubią szary kolor. Jędrne, kształtne. - Klepał się po pośladkach.

Zgroza!

Na górze Anna kończyła pakowanie; na łóżku zostało tylko kilka drobiazgów. Chciałem ją jakoś pocieszyć, przytulić, powiedzieć, że życie nie kończy się na jakichś zdjęciach ani na wrzaskach tej bandy.

- Jak się czujesz? - spytałem pojednawczo.

- A jak sądzisz? - odparła lodowatym tonem.

- Nie mam pojęcia, skąd oni się tutaj wzięli.

- Ale ja mam. Ten obleśny typ - twój sublokator - wygadał prasie, sprzedał mnie za judaszowe srebrniki, za mnóstwo srebrników, oczywiście! - krzyczała histerycznie, miotając się między łóżkiem a komódką.

- To nieprawda. Spike nigdy by tego nie zrobił

- zaprotestowałem żarliwie.

- Czyżby? - Stała na środku sypialni, ujmując się pod boki. - Chcesz powiedzieć, że dziś rano wszyscy brytyjscy dziennikarze doznali nagłego olśnienia? "Ależ tak, wiemy, gdzie jest Anna Scott" - powiedzieli sobie przy śniadaniu - „ukrywa się w Notting Hill, w tym szafirowym domu". Przylecieli tutaj, a ty co? Wychodzisz do nich w tej cholерnej bieliźnie!

- Ja wyszedłem do nich w cholерnej bieliźnie

- spokojnie oznajmił Spike, wchodząc do pokoju.

- Po co tu przylazłeś? Już cię nie ma! Przepraszam za niego i za siebie - zwróciłem się do Anny.

- Ty chyba nie rozumiesz, w jakie bagno oboje wdepnęliśmy? Szukałam u ciebie schronienia, żeby nie dawać im pretekstu do kolejnych paskudnych plotek, a po tym - wskazała na okno - będę na czołówkach wszystkich gazet. Na miłość boską, przecież mam chłopaka!

- Masz chłopaka? - spytałem zamierającym głosem.

- Oni myślą, że mam - powiedziała nieco łagodniejszym tonem. - Jutro twoje zdjęcie będzie w każdej gazecie jak świat długi i szeroki.

- Wiem, ale starajmy się zachować spokój.

- Ty możesz sobie na to pozwolić. Dla ciebie to przecież wymarzona chwila: zdobędziesz maksymalny rozgłos przy minimalnych nakładach, czego chcieć więcej? - zaśmiała się drwiąco. - Nawet Jeremy'emu nie zawsze się to udaje. Będą cię rozpoznawać na ulicy, szeptać: „O, to ten, co się przespał z tą aktorką; sprytny gość”.

- Jesteś okrutnie niesprawiedliwa. - Poddałem się; żadne racjonalne argumenty nie były w stanie jej przekonać.

- Kto wie, może ci to pomoże w biznesie? - ciągnęła ironicznym tonem. - Od faceta, który się przespał z Anną Scott, warto kupić nawet najnudniejszą książkę o Egipcie.

Notting Hill

Przez chwilę mocowała się z zamkiem, drżącymi rękami nałożyła bluzę z kapturem i zdecydowanym krokiem wyszła z sypialni.

- Poczekaj, proszę, usiądź na chwilę - biegłem za nią po schodach - napijemy się herbaty, ochłonieś trochę.

- W nosie mam twoją herbatę. Chcę do domu. O! Już są - na dźwięk dzwonka jakby odetchnęła z ulgą.

- Spike, sprawdź, kto to. Tylko narzuć coś na siebie, do cholery!

- Wygląda na szofera - oznajmił Spike, odchylając się od okna.

- Spike jest ci winien wystawną kolację. Albo luksusowe wakacje - w zależności od tego, czy miał dość rozumu, żeby zażądać obowiązującej stawki za judaszową przysługę - powiedziała, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- On tego nie zrobił, przysięgam. Poczekaj chwilę... To czyste szaleństwo, infantylizm. Potraktujmy ten incydent jak żart. W porównaniu z innymi sprawami, ta jest naprawdę nieważna.

- Zaraz powie, że w Sudanie ludzie głodują - zarechotał Spike.

- Bo głodują. Wcale nie muszę sięgać tak daleko, mam przykład z własnego podwórka. Moja serdeczna przyjaciółka poślizgnęła się na schodach - złamała kręgosłup i do końca życia będzie

jeździła na wózku inwalidzkim. Proszę cię tylko, żebyś spojrziała na swoje nieszczęście z właściwej perspektywy.

- Masz rację. Tak, mówię poważnie - masz rację. Tylko że ja mam do czynienia z tym śmieciem od dziesięciu lat, podczas gdy ty - dopiero od dziesięciu minut. Jak widzisz, mamy inne perspektywy. - Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

- Dzisiejsze gazety jutro będą makulaturą.

- Przepraszam, nie zrozumiałam? - powiedziała z udawaną uprzejmością.

- To tylko jednodniowa sensacja. Jutro wszyscy wyrzucą dzisiejsze gazety i zapomną o sprawie.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz - westchnęła, zakładając ciemne okulary. - Dzisiejsze zdjęcia znajdują się gazetach z odpowiednim komentarzem, wycinki pójdą do archiwum i za każdym razem, kiedy ktoś zechce o mnie napisać, na pewno je wyciągnie. Dzienniki są wieczne, i ja będę wiecznie żałować tego, co się tutaj stało.

- Jak chcesz. Jeśli pozwolisz, ja potraktuję to zupełnie inaczej - zawsze będę miło wspominał twój pobyt. Lepiej już idź.

Jak na zawołanie odezwał się dzwonek. Pojawienie się Anny wywołało histerię koczującego pod drzwiami tłumu. Zbity w jednolitą masę, przesuwał się to w jedną, to w drugą stronę, jak

Notting Hill

odwłok stonogi. Karen czekała tuż za progiem w asyście ochroniarzy. Objęła Annę opiekuńczym ramieniem, a potężnie zbudowani ludzie z eskorty torowali drogę, brutalnie odpychając na boki fotoreporterów. Anna, przygarbiona, z głową wtuloną w ramiona, pozwoliła się prowadzić wąskim przejściem wśród kamer, mikrofonów i krzyczących dziennikarzy.

Spike - już ubrany - siedział przy stole w kuchni.

- Czy to twoje dzieło?

- Chyba coś wspomniałem komuś w pubie - powiedział nieswoim głosem.

Nogi się pode mną ugięły. Przeczucie nie zawiodło Anny: Spike był judaszem, do tego mało wymagającym - wydał ją prawdopodobnie za kilka piw, o czym, mam nadzieję, ona nigdy się nie dowie. Tak czy inaczej, w jej oczach wyszedłem na durnia, gorzej - naiwnego durnia. W końcu bronilem go, co gorsza, zamiast zrozumieć tragedię wielkiej gwiazdy, bredziłem o głodzie i pękniętym kręgosłupie. Cóż począć, jestem pewny swoich racji i nie zamierzam się ich wyrzekać. Nawet za cenę jej miłości. Nigdy nie idealizowałem Anny; dostrzegałem jej wady i nawet się z nich cieszyłem, bo one czyniły z celuloidowej bogini człowieka z krwi i kości, zasypywały przepaść dzielącą nasze światy. Dzisiejszy ranek przy-

Richard Curtis

niósł bolesne otrzeźwienie. Rzeczywiście mamy inne perspektywy: dla mnie wspólnie spędzona noc była dowodem nie tylko uczucia, lecz także pełnego zaufania, dla niej - chyba tylko chwilowym zauroczeniem. Tym razem nie miałem wątpliwości: byłem przelotnym kaprysem Anny, osobliwością z Wysp Brytyjskich. Im szybciej się wycofam, tym lepiej dla mnie. Zaboli, ale z czasem minie.

Konferencja prasowa

Wbrew przewidywaniom Anny zajmowałem się „tym śmieciem” dłużej niż dziesięć minut, dokładnie mówiąc - trzy dni. Uświadomiłem sobie ten fakt już następnego dnia, kiedy mimo rozsadzającego czaszkę bólu głowy, postanowiłem iść do księgarni. Armia zbrojna w notatniki, mikrofony i kamery zniknęła spod domu, zostali tylko maruderzy - kilkunastu najbardziej wytrwałych paparazzi. Poopierani w leniwych pozach o samochody, czekali na ofiarę. Opadli mnie jak sfera psów gończych i gdyby nie stragany na Portobello, o które się odrobinę poobijali, pewnie by gnali za mną dłużej. Głowa nie dawała mi spokoju, uległem więc namowom Martina i po paru godzinach wróciłem do domu.

Drugiego dnia szeregi maruderów znacznie się przerzedziły, a trzeciego nastąpił całkowity odwrót. Efekty naszych występów dały się zauważyć

w gazetach, z których Spike czerpał wiadomości o świecie.

Wbrew obawom Anny gazety nie poświęciły wiele uwagi mojej osobie, tak przynajmniej powiedział Spike, który po wstępnej lekturze kilkunastu popularnych tytułów, wielkim głosem zażądał, żebym ich nigdy nie czytał. Zgodziłem się bez oporów, wręcz z ulgą, choć byłem zaskoczony jego reakcją - obawiałem się, że zmusi mnie do czytania pod groźbą użycia siły.

Spike w ogóle zachowywał się dziwnie. Z jego pokrętej relacji wynikało, że gazety najczęściej pisały oczywiście o Annie; jej zdjęcie - o zgrozo, znowu nienajlepszej jakości - publikowały najczęściej. Ja dorobiłem się jednego akapitu, znacznie obszerniej natomiast potraktowano Spike'a. Oprócz zdjęć gazety zamieściły obszerny artykuł, opisujący fakty z jego życia, i to właśnie one wywołały niezrozumiałą dla mnie reakcję. Mój sublokator ciskał się na wszystkie media, parskał i prychał, odsądzając dziennikarzy od czci i wiary. Oskarżał „obmierzłe hieny” o spreparowanie fotografii, gdyby bowiem wyglądem choć trochę przypominał tego, jak się wyraził, „pokurcza”, nigdy by się publicznie nie pokazywał w dezabilu. Znacznie boleśniejszy cios zadało słowo pisane, w artykułach przedstawiano Spike'a jako homoseksualistę, co rzekomo potwierdzali nie wymie-

nieni z nazwiska jego liczni znajomi. Nie miał nic przeciwko gejom i nie kwestia odmienności seksualnej dotknęła go do żywego, lecz to, że napisano nieprawdę bez jego wiedzy i zgody. Gotując się ze złości wyznał, że żaden z autorów tych rewelacji z nim nie rozmawiał, co gorsza - nie chce rozmawiać w sprawie sprostowania. Proces z gazetami nie wchodził w grę z powodu braku gotówki, więc Spike postanowił je bojkotować. Po kilku dniach snucia się po domu z ponurą miną oświadczył przy śniadaniu, że od tej pory nie zamierz kupować „tego badziewia”, a tym bardziej czerpać z niego wiadomości o świecie.

Anna pomyliła się również co do moich rzekomych korzyści z darmowej kampanii reklamowej. Zdjęcie w prasie nie przyniosło żadnej, nawet chwilowej popularności ani mnie osobiście, ani mojej księgarni. Mieszkańcy rejonu Portobello zapewne mieli bardziej pasjonujące zajęcia albo - co pewniejsze - uodpornili się na tego rodzaju sensacje.

Od obcych nie spotkało mnie zatem nic złego, przyjaciele zaś potraktowali incydent tak, jak na to zasługiwał - we właściwych proporcjach. Początkowo zachowywałem się jak rasowy masochista: rozmowa o Annie sprawiała mi ból, a mimo to bez końca rozpamiętywałem zdarzenia ostatnich dni. Nie odwodzili mnie od tego, jakby rozu-

mieli, że w ten sposób oswajam cierpienie, że stwarzam szansę na uzdrowienie. Swoimi rozterkami męczyłem również Martina, choć nie wtajemniczałem go w szczegóły.

- Martino - zagadnąłem któregoś dnia, patrząc na chmury wiszące nisko nad miastem.

- *Capo di capo* - zasalutował lewą ręką, spoglądając na mnie z wyraźną troską.

- Mam pytanie.

- Zamieniam się w słuch. - Przystawił do uszu dłonie zwinięte w trąbkę.

- Nie błażnuj... Na podstawie własnego doświadczenia w miłości...

- Taak - powiedział niepewnie.

- ...co powiesz o leczniczych właściwościach czasu? Czy twoim zdaniem koncepcja czasu, który goi rany, jest słuszna?

- Aha - zamyślił się na chwilę. - W koledżu zakochałem się w pewnej dziewczynie. Ona mnie nie kochała; zero zainteresowania przez trzy lata. Od tamtej pory jej nie widziałem.

- To znaczy, jak długo?

- Siedem lat - westchnął.

Z małej przegródki portfela wyciągnął czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej ciemnowłosej dziewczyny.

- Codziennie na nią patrzę - powiedział melancholijnie, wyglądając zagięcia. - Żadna

dziewczyna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak ona.

- Tego się obawiałem.

Czas nie goi ran, a w każdym razie nie wszystkie. Może je co najwyżej zabiźnić, ale nie usunie samej blizny. Mój stan nie odbiegał zatem od normy - słabe pocieszenia, choć lepsze takie niż żadne.

Życie tymczasem toczyło się dalej. Portobello rozkwitało soczystymi barwami letnich i jesiennych kwiatów, to znów pachniało żywicą świeżo ściętych choinek. Jakiś czas po obłożeniu mojego domu Honey przez kilka tygodni zamęczała nas prośbami o radę w sprawie fryzury, miała bowiem na oku nowego chłopaka, który nie gustował w kucykach poupinanych na czubku głowy w artystycznym nieładzie. W końcu obrazila się z powodu - jak twierdziła - infantylności naszych propozycji. Kiedy nagle zniknęła nam z oczu, zacząłem podejrzewać, że dostała się w łapy jednego z tych radykałów fachu fryzjerskiego i w ukryciu czeka, aż przestanie straszyć bliźnich jego dziełem.

Mogłem sobie oszczędzić zmartwień - po tygodniu pojawiła się u Maksów z fantastycznie obciętymi włosami. Jej zniknięcie nie miało związku z fryzurą, lecz z chłopakiem, który nie tylko doradził, lecz także osobiście wykonał strzyżenie.

Przeciwnik kucyków rzekomo nie dorastał mu do pięt.

Któregoś dnia, chyba w okresie trzeciego chłopaka po fryzjerze, Honey wpadła do księgarni ze Spike'em. Od czasu pamiętnych wydarzeń mój sublokator starał się jak mógł, by odkupić haniebną zdradę. Muszę przyznać, że czynił to z godnością; nie płaszczył się, nie nadskakiwał, lecz w miarę swoich możliwości podtrzymywał mnie na duchu. W ogóle jakby spoważniał, wydoślał.

Honey zaciągnęła mnie do kantorka i z błyskiem w oku wyznała, że zrywa z obecnym chłopakiem.

Poczułem lekki zamęt w głowie, co zresztą często się zdarzało w pierwszych minutach rozmowy z moją siostrą. Przyczyną dezorientacji była rozbieżność między treścią tego, co mówiła, a jej zachowaniem, przy czym prawie zawsze uwagę dodatkowo rozpraszał strój. Pominąwszy słodkie aniołki na bluzce, z których jeden spoglądał na mnie przenikliwym wzrokiem, tym razem w skupieniu przeszkadzała mi nieadekwatność błysków w oku do wiadomości o zerwaniu. Strojąc tajemnicze miny, moja siostra wyciągnęła mnie do głównej sali, gdzie zza regału, na którym Martin układał książki, wychylał się błogo uśmiechnięty Spike.

- Ależ mamy dla ciebie niespodziankę! - szczebiotowała Honey. - Kiedy się dowiesz, będziesz mnie kochał, uwielbiał i ścisnął codziennie aż do końca moich dni.

- Coście znowu uknuli?

- Oto numery telefonów do agenta Anny Scott w Londynie i Nowym Jorku - powiedziała z dumą, wręczając mi kartkę. - Możesz do niej zadzwonić. Bez przerwy myślisz o Annie, teraz możesz z nią pogadać!

- Dzięki, wspaniale! - nadrabiałem miną, żeby im nie psuć przyjemności.

- Super, prawda? Do zobaczenia wieczorem. Pa, Marty. Seksowny sweter.

Kiedy wybiegli uradowani, zmiąłem kartkę i wyrzuciłem do kosza. O czym mam z nią rozmawiać, jeśli oczywiście zdołam się przebić przez agentów? Ostatni kontakt z jej specjalistami od mediów do dziś śni mi się po nocach. Gdybym mógł się z nią spotkać bez ich pośrednictwa, może miałyby to jakiś sens, ale przez telefon? Biedna Honey, widać niełatwo się pogodzić z utratą „najlepszej przyjaciółki”.

Spotkanie, o którym mówiła moja siostra, było czymś w rodzaju stypy; Tony zamykał knajpę, a że chciał to zrobić z fasonem, zegnał się z biznesem w pierwszą rocznicę otwarcia. Optymizm byłego architekta, niestety, nie trwał długo: po kilku

miesiącach lokal stracił walor nowości i gości zaczęło ubywać. Okoliczna konkurencja zrobiła swoje i trzeba było zwinąć interes.

- Chciałabym wygłosić krótką mowę. - Bella zastukała łyżeczką w butelkę wina. - Przepraszam, że na siedząco, ale... nie lubię, jak mi się przeszkadza. Dokładnie rok temu ten oto człowiek stworzył najlepszą restaurację w Londynie.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. - Tony kłaniał się w pas, zamiatając podłogę fartuchem.

- Niestety, nikt nie chciał w niej jadać.

- Pech niegodny uwagi - wtrącił Tony lekceważąco, ale było widać, że nadrabia miną.

- Musimy się więc pogodzić z faktem, że w przyszłym tygodniu trzeba rozpocząć poszukiwania nowego lokalu, w którym będziemy mogli jadać bez szkody dla zdrowia. Tony'emu chciałyby powiedzieć tylko jedno - to nie jest twoja osobista porażka. - Poglaskała go po ramieniu. - Im więcej rozmyślałam nad różnymi sprawami, tym znajduję mniej sensu w życiu, nie widzę w nim żadnego rytmu ani celu. Nie rozumiemy przyczyn naszych sukcesów ani porażek, nie potrafimy wytłumaczyć, dlaczego ktoś z nas jest szczęśliwy, a ktoś inny...

- Dostaje wymówienie - Bernie podniósł na nas smutne oczy spaniela.

- Nie mów! Naprawdę?! - wykrzyknęła Bella.

Notting Hill

- Naprawdę. Zmieniają profil na bardziej handlowy, no i... dałem ciała na całej linii - zgrywał się jak zwykle, ale nam nie było do śmiechu.

- Nie ma to, jak iść na dno w dobrym towarzystwie! - wykrzyknął radośnie Tony, który jeszcze przed chwilą wyglądał na kompletnie załamane-go. - Wypijmy za Berniego, najgorszego maklera giełdowego na świecie!

- Skoro zrobił się z tego wieczór wyznań - powiedziała Honey, wstając - chciałabym dorzucić swoje. Uhhh... zdecydowałam się zaręczyć. Z miłym, troszkę ekscentrycznym facetem, który - wiem to na pewno - uczyni mnie najszczęśliwszą kobietą do końca moich dni. - Jakby dla podkreślenia ostatecznego charakteru decyzji, zdecydowanym ruchem obciągnęła bluzeczkę z wzorkiem w stylu militarnym.

Kto jak kto, ale moja siostra potrafiła zaskakiwać. Zastygliśmy z wrażenia, tylko Bernie wiercił się na krześle, nie odrywając od Honey rozmarzonych oczu. Czyżby to on był wybrankiem mojej siostry? Koniec świata!

- Zaraz, chwileczkę. Jak to się stało, że ja, bądź co bądź twój brat, dowiaduję się o tym dopiero teraz? - powiedziałem z wyrzutem.

- Czy to ktoś znajomy? - dopytywał się Max.

- Tak. Wszystkiego dowiedzie się w swoim czasie - Honey szepnęła coś Spike'owi.

- To ja? Ze mną się chcesz zaręczyć? - Spike wytrzeszczył oczy.

- No. Co ty na to?

- W dechę - popatrzył na mnie niepewnie.

- Ktoś jeszcze chce coś wyznać? - spytał Max.

- Tak, ja. Przepraszam wszystkich za moje zachowanie w ciągu ostatniego pół roku. Przechodziłem, jak wiecie, lekką depresję.

- „Lekką depresję”? To była twoim zdaniem lekka depresja?! - Max wodził po towarzystwie zdumionym wzrokiem. - Niektóre trupy bywają w lepszej formie.

- Dla porządku dodam, że najgorsze już minęło i odtąd zamierzam być niewymownie szczęśliwym człowiekiem.

Wino i piwo lało się strumieniami. Dwie godziny później wszyscy byliśmy na dobrym rauszu. Na stół wjechał imponujących rozmiarów czekoladowy tort urodzinowy z jedną świeczką, którą zgasiliśmy wspólnymi siłami dopiero za trzecim podejściem. Tony siadł do piana, racząc nas jazzowymi standardami - nawet odśpiewał w duecie z Bernie „Blue Moon”. Spike uraczył nas zmysłowym tańcem, a potem wszyscy rozleźli się po kątach.

- Mam rozumieć, że pogrzebałeś ducha? - powiedział Max, przysiadając się do mnie z butelką piwa i gazetą.

Notting Hill

- Wszystko na to wskazuje - odrzekłem lekkim tonem.

- Czyli gwizdzesz sobie na pewną sławną kobietę? - upewniał się.

Zebrałem się w sobie, bo w tym wypytywaniu zacząłem wietrzyć podstęp.

- Jasne.

- A zatem twojego nastroju nie zepsuje informacja, że ona jest w Londynie. Przyleciała tułąc do piersi Oscara i właśnie kręci kolejny film w Hampstead Heath. - Rozłożył „Evening Standard” ze zdjęciem Anny na pierwszej stronie.

- O Boże, tylko nie to. - Mój dobry nastrój diabli wzięli.

- Jednak nie pogrzebałeś. Chodź, koleś, zaczerpnijmy świeżego powietrza.

Na dworze było rześko, wino szybko wyparowało nam z głowy. Max zatrzymał się przy witrynie Woolwortha.

- Wolisz Claudię Schiffer czy Cindy Crawford? - spytał, przyglądając się zdjęciom obydwu modelek reklamujących kosmetyki.

- Cindy.

- Ja też. Caludia jest skończoną pięknnością, ale zasługuje na karę za tę historię z Davidem Copperfieldem - powiedział, zawracając w stronę restauracji Tony'ego. - Coś ci powiem - rzekł po chwili milczenia. - Żeby nie było wątpliwości,

dodam, że mam na uwadze wyłącznie twoje dobro. Wiesz, jakim koszmarem była ta sprawa z Bellą.

- Oczywiście - przytaknąłem uspokojony, że Max nie wraca do sprawy Anny.

- Jestem ci wdzięczny, oboje jesteśmy ci ogromnie wdzięczni, że nigdy nie poruszasz tego tematu. Gdybyś to zrobił, dostałbyś w łeb. Powiem ci tylko tyle, że wygląda to okropnie. Mięśniej jej nóg są... krótko mówiąc, trzeba je pobudzać elektrycznie... Kate Moss - to jest kobitka, uwielbiam ją... - powiedział ni z tego ni z owego.

- Nie dziwię się. Dziewczyna z sąsiedztwa, i taka śliczna. - W dalszym ciągu nie mogłem się połapać, do czego zmierza.

- Musi mnie naprawdę bardzo kochać, skoro przez cały ubiegły rok ani razu nie podniosła na mnie głosu, choć zachowywałem się jak palant; za szybko wróciłem do pracy, robiłem jej wymówki za każdego papierosa i... nieważne. Mówię o tym dlatego, że gdzieś tam w środku, rozumiesz, mężczy mnie jakiś niepokój. Bo jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, ty naprawdę zakochałeś się w tej Amerykance. A jeśli to jest miłość... cóż, musisz za nią zapłacić taką cenę, jaką trzeba zapłacić.

- To znaczy? - spytałem, patrząc mu prosto w oczy.

- To znaczy, że musisz pójść na plan filmowy i powiedzieć tej wielkiej gwiazdce, że jesteś mężczyzną jej życia i że byłaby szalona, gdyby nie została z tobą - i twoimi niezwykle interesującymi przyjaciółmi - do końca swoich dni.

- A ona mi na to odpowie: zjeżdżaj z kadru, ty melancholijny wymoczku.

- Możliwe. Ryzyko totalnej klęski jest oczywiście elementem ceny miłości.

- Hmm... - mruknąłem, kiedy zbliżaliśmy się do knajpy. - Hampstead Heath, mówisz.

- W gazecie piszą, że jutro jest ostatni dzień zdjęciowy.

- Typowe. Absolutna klasyka gatunku.

Zobaczyłem ich dopiero ze szczytu wzgórza. U stóp palladiańskiej willi szkockiego arystokraty Iveagha Bequesta zaparkowano kilkanaście przyczep i ciężarówek ze sprzętem. Biedny hrabia pewnie się w grobie przewraca, patrząc gdzieś z góry, co wyprawiają w jego wymuskanym parku krajobrazowym. Cierpi tak zresztą od czasu, kiedy neoklasycy pałac oraz ogrody Kenwood House znęciły filmowców poszukujących plenerów z XIX wieku. Londyńczycy doskonale znali te tereny, tutaj bowiem w przepięknej muszli odbywały się cotygodniowe koncerty i pokazy sztucznych ogni.

Nieopodal zaplecza technicznego przygotowywano się do jakiejś skomplikowanej sceny. Trawniki obsiadły setki statystów w strojach z epoki, wokół których nerwowo biegali ludzie z radiotelefonami i notatnikami. Ruszyłem w ich kierunku, ale po kilkunastu metrach natknąłem się na plastikową barierkę.

- Czego pan sobie życzy? - Ochroniarz wyrósł jak spod ziemi.

- Szukam Anny Scott...

- Czy jest pan z nią umówiony?

- Nie.

- Przykro mi, ale nie mogę pana przepuścić.

- Widzi pan, jestem jej przyjacielem, a nie żadnym oszalałym fanem - starałem się zyskać jego zaufanie - ale, oczywiście, jeśli...no tak, w zasadzie...

- Nie mogę pana przepuścić.

Już miałem odejść, kiedy z przyczepy oddalonej o niecałe trzydzieści metrów wyszła Anna. W błękitnej sukni i ogromnym kapeluszu ozdobionym kwiatami i piórami wyglądała jak marzenie. Wokół niej uwijało się kilka osób: jedna poprawiała włosy, druga makijaż, trzecia układała fałdy sukni, a czwarta przez cały czas ponaglała grupkę, rozpaczliwe gestykując. Anna przystanąła niedaleko miejsca, w którym zatrzymał mnie ochroniarz i wtedy mnie zobaczyła. Zasko-

czyłem ją, to pewne, choć oprócz zdziwienia w jej twarzy dostrzegłem coś jakby rozdrażnienie czy zniecierpliwienie. Pomachałem ręką, ale w tym momencie rozdzielił nas fragment dekoracji. Po chwili zobaczyłem Annę idącą w moim kierunku, za nią truchcikiem podążała grupa asystentów. Ochroniarz odszedł na bok, asystenci zatrzymali się kilka metrów z tyłu.

- Cóż za niespodziewana wizyta... doprawdy...

- Dowiedziałem się dopiero wczoraj.

- Miałam zamiar zadzwonić... ale nie sądziłam, że będziesz chciał... - spojrzała na mnie zmieszana.

- Anno - powiedziała błagalnie asystentka produkcji, pukając w zegarek.

- Źle nam idzie - powiedziała Anna, gestem uspokajając asystentkę - a to nasz ostatni dzień.

- Rozumiem. Widzę, że jesteś zajęta.

- Zaczekaj na mnie, musimy sobie wyjaśnić parę spraw - powiedziała szybko.

- Dobrze.

- Napij się herbaty, tutaj mają dużo tego towaru. Karen cię zaprowadzi.

Asystenci znowu rzucili się do włosów makijażu i kostiumu; podrygując jak polne koniki poprowadzili Annę na plan.

- Lubi pan Henry'ego Jamesa? - spytała Karen, prowadząc mnie do miksera dźwięku.

Richard Curtis

- To jest film według Jamesa? - Moje zdziwienie było jak najbardziej autentyczne.

Karen podeszła do sympatycznie wyglądającego faceta w średnim wieku i chwilę z nim rozmawiała.

- Harry się panem zajmie, da panu słuchawki, żeby pan słyszał dialogi.

- Bardzo proszę. Głośność reguluje się z boku. Proszę usiąść na tamtym krześle.

Obserwowałem przygotowania do sceny z odległości około stu metrów, a było na co patrzeć. Wspaniała panorama parku z pałacem w tle i ludźmi nie z naszej epoki.

Jak wszystko dobrze pójdzie, przyjadę tu z Anną. Muszę jej pokazać kolekcję Bequesta z Rembrandtem, Turnerem, Reynoldsem, Gainsboroughem i innymi mistrzami, największą, jaką prywatna osoba podarowała narodowi brytyjskiemu. I rzeźby Moore'a w parku, koniecznie! Patrzyłem na Annę i czułem się... surrealnie - w końcu nie co dzień mam okazję podsłuchiwać cudze rozmowy.

- Istny dom wariatów, przecież my dzisiaj tego nie skończymy - irytował się James jakiś tam, filmowy partner Anny.

- Musimy, bo ja jutro wylatuję do Nowego Jorku - spokojnie odparła Anna, popijając wodę wprost z butelki.

Notting Hill

- Och, przestań nas epatować tym Nowym Jorkiem - burknął. - Boże, co za ogromny zad - powiedział po chwili, wskazując aktorkę w białej sukni.

- Nie chcę tego słuchać. - Anna zatkała uszy.

- Mówiąc poważnie, jest w tym jakaś niesprawiedliwość: tyle nastolatek umiera na anoreksję, a ta mogłaby obdzielić swoim dupskiem co najmniej dziesięć i niewiele by jej ubyło - z niesmakiem ciągnął James.

- Powiedziałam, że nie będę tego słuchać. Choć... sam się prosileś. Sądzę, że ktoś z tak obwisłym tyłkiem jak twój powinien się zamknąć i z szacunkiem podziwiać krzepkie, jędrne ciało.

Parsknąłem śmiechem. Brawo Anno! Taką cię lubię.

- W tej scenie, kiedy ja cię pytam, kiedy zamierzasz o tym powiedzieć, ty mówisz...? - trąciła w ramię naburmuszonego Jamesa.

- „Wystarczy, że dowiedzą się jutro” - odpowiedział opryskliwie.

- A co ja mówię? Aha, już mam.

- Kim jest ten fajtłapowaty facet, z którym rozmawiałaś przy barierce?

- On? Nikim. Taki jeden znajomy z dawnych czasów. Nie mam pojęcia, skąd się tutaj wziął. Trochę kłopotliwa sytuacja.

Jasne, teraz już wszystko jasne.

Richard Curtis

Pewnych rzeczy nie trzeba mi dwa razy przypominać. Nic tu po mnie. Podziękowałem Harry'emu i poszedłem. Nie każdą cenę można zapłacić, Max.

Do trzech razy sztuka, mówią, i coś w tym jest. Po dwóch poprzednich rozstaniach z Anną byłem rozedrgany, przybity - teraz ogarniał mnie spokój. Cisza, powiedziałbym, zadziwiająco chłodna cisza. Z kartonowym pudełkiem, które zabrałem spod jakiegoś sklepu, wszedłem do saloniku i zgarnąłem z półki wszystkie kasety z jej filmami.

- Co się tu dzieje?! - krzyknął Spike zwabiony rumorem.

- Wyrzucam to na śmietnik - odparłem spokojnie.

- Nie ma mowy! Zabraniam ci; to klasyka gatunku. - Zasłonił półkę własnym ciałem.

- W porządku. Porozmawiajmy zatem o czymś...

- Już ci pomagam, stary. Nie ma sensu zaśmiecać sobie życia takim gównem. - Ochoczo wybierał z półki resztę kaset.

Nazajutrz z samego rana porządkowałem od dawna zaniedbywane księgi. Martin dostał polecenie, żeby mi nie przeszkadzać pod żadnym pozorem, kiedy więc stanął w progu kantorka, zniecierpliwiony zamachałem rękami.

- Wybacz, że przeszkadzam ci w kreatywnej księgowości, ale przyszła dostawa - powiedział tajemniczym szeptem.

- Nie możesz tego sam załatwić? - burknąłem.

- Raczej nie, bo to nie jest do sklepu, tylko prywatnie dla ciebie.

- Już idę. Wiesz Martin, czasami zastanawiam się, czy nie powinienem na twoje miejsce zatrudnić nielegalnego emigranta.

Niezrażony naganą, Martin zacierał ręce, uśmiechając się głupkowato.

- Dzień dobry. - Pośrodku księgarni stała Anna, zakłopotana i onieśmielona.

- Dzień dobry - odpowiedziałem spokojnie. Wyglądała mizernie i jakoś tak... swojsko. Wielkie gwiazdy rzadko pokazują się zwykłym śmiertelnikom w śmiesznych plażowych klapkach i dzinsowych spódnickach.

- Wczoraj zniknąłeś... bez słowa...

- A tak, przepraszam. Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Rozumiem. - Jej palce nerwowo obracały guzik bluzki - A... co u ciebie słyhać?

- Po staremu. Jak zmieniają prawo, natychmiast wyjdę za Spike'a. Za to u ciebie... same nowości, jak słyszę; nagrody, sława - gratuluje.

- Daj spokój. Wszystko to bzdura. Nie miałam bladego pojęcia, ile w tym taniego blichtru i bla-

gi. Teraz dopiero do mnie dotarło, jaki to nonsens
- wyrzuciła jednym tchem. - Wczoraj skończyli-
śmy zdjęcia, mam już wolne i chciałam co to dać.
- Wskazała na spory płaski pakunek, oparty o re-
gał. - Przywiozłam dla ciebie z domu...

- Dziękuję. Mogę rozpakować?

- Nie teraz. Będzie mi głupio...

- Dobrze, poczekam, aż wyjdiesz. Nie wiem,
co to jest, ale dziękuję.

- Miałam to w moim mieszkaniu, w Nowym
Jorku i pomyślałam... Kiedy tu przyjechałam,
nawet chciałam do ciebie zadzwonić, ale jakoś nie
mogłam się zebrać po tym, jak cię potraktowa-
łam, i to dwukrotnie... Paczka czekała w hotelu,
a potem ty się zjawiłeś, więc pomyślałam, że...
chodzi o to... chodzi o to... - W jej oczach błysnę-
ły łzy.

- O co chodzi?

Dzwonek zawieszony nad drzwiami zadzwie-
czał wesoło i do księgarni wszedł namolny klient,
który wciąż zadreślał nas pytaniami o literaturę
piękną.

- O nie! - rzuciłem w jego stronę. - Proszę
stąd natychmiast wyjść.

- Oczywiście. Przepraszam. - Potulnie opuścił
księgarnię, ale na ulicy natychmiast przykleił
twarz do szyby.

- Co za upiorny facet. Wybacz, mówiłaś...

- Chodzi o to, że muszę dzisiaj wracać do Stanów i zastanawiałam się, czy nie chciałbyś się ze mną spotkać... na chwilę... albo na dłużej... Chciałam wiedzieć, czy mógłbyś mnie znowu polubić.

Kpi, czy o drogę pyta?

- Ale przecież wczoraj, kiedy ten aktor zapytał kim jestem, bez namysłu wyparłaś się znajomości ze mną...sam słyszałem...na słuchawkach - odrzekłem po dłuższej chwili.

- Miałam się zwierzać z moich prywatnych spraw największemu plotkarzowi w Anglii?

- Przepraszam, że przerywam - zaszemrał nieśmiało Martin. - Dzwoni twoja mama.

- Powiedz jej, że jestem zajęty; zadzwonię do niej później.

- Mówiłem. Za kogo mnie masz? - powiedział urażony, nerwowo gryząc palec. - Nie uwierzyła. Powiedziała, że obiecałeś jej natychmiast oddzwonić i nie odzywałeś się przez cały dzień, a tymczasem jej noga z fioletowej zrobiła się czarna...

- Kto jak kto, ale moja mama nigdy nie przestanie mnie zadziwiać świetnym wycuciem czasu. Martin, zabawiaj panią rozmową.

Wysłuchałem tyrady o postępującej gangrenie i wyrodnym dzieciach, które skazują matkę-starsuszkę na powolną śmierć w samotności, modląc się w duchu, żeby Martinowi nie zebrało się na zwierzenia o mojej „lekkiej depresji”. Chyba jed-

nak postanowił zadziwić gościa znajomością sztuki filmowej, bo kiedy wreszcie skończyłem przywracać moją rodzicielkę do życia, trafiłem na interesującą końcówkę.

- Korzystając z okazji, chciałem panią zapewnić, że „Duch” zawsze będzie moim ulubionym filmem - mówił tonem konesera.

- Naprawdę? - uprzejmie zdziwiła się Anna.

- Naprawdę. Zastanawiałem się nawet, czy w życiu prywatnym Patric Swayze jest taki sam, jak w filmie.

- Nie znam go zbyt dobrze.

- Źle panią potraktował podczas zdjęć? - W oczach Martina błysnęło oburzenie.

- Ależ nie. Sądzę, że był miły... dla Demi Moore, bo to ona partnerowała mu w „Duchu” - W głosie Anny nie pojawił się nawet cień sarkazmu.

- Ach tak, prawda. Zawsze palnę coś ni w pięć ni w dziewięć. W każdym razie, miło mi było panią poznać. - Wycofywał się tyłem, spoglądając na mnie z ukosa. - Jestem pani zagorzałym wielbicielem. I Demi, oczywiście.

- Co on ci tutaj nabredził?

- Nic takiego. Lepiej zniosłam oczekiwanie na werdykt; wiesz, że ława przysięgłych opuszcza salę sądową na czas obrad - zaśmiała się nieco sztucznie.

Notting Hill

- Posłuchaj, Anno: jestem facetem dosyć starym w uczuciach. Nie potrafię się szybko zakochać i jeszcze szybciej odkochać, a mimo to odmówię twojej kuszącej propozycji. Niech zostanie tak, jak jest. Nie obraż się, proszę.

- Ależ skąd? Dobrze, oczywiście... Oczywiście, jakoś to przeżyję... No to, do widzenia.

- Poczekaj, pozwól mi wytłumaczyć... Chodzi o to, że nie czuję się z tobą bezpiecznie. Niby wszystko układa się fantastycznie, jeśli pominać twoje nagłe zmiany nastroju, ale ja nie mam wielkiego doświadczenia w miłości i obawiam się, że kiedy kolejny raz mnie odrzucisz, już się nie pozbieram. Znam swoje miejsce i nikt nie musi mi go wskazywać. Nie pozbieram się, bo wszystko będzie mi o tobie przypominało: plakaty, zdjęcia, filmy. Odejdiesz, a ja będę się czuł jak śmieć.

- Rozumiem. - Spojrzała mi głęboko w oczy. - To jest twoja ostateczna odpowiedź, prawda?

- Mieszkam w Notting Hill, ty - w Beverly Hills. Ciebie zna cały świat, a moja własna matka czasami zapomina jak mam na imię.

- Słuszna decyzja... Sądzę jednak, że przywiązujesz zbyt duże znaczenie do tak zwanej sławy; ona jest złudzeniem, wierz mi. Nie zapominaj, że jestem również dziewczyną. I ta dziewczyna stoi teraz przed chłopakiem i prosi, by ją

kochał. - Podeszła bliżej i pocałowała mnie w policzek.

- Do widzenia - powiedziała od drzwi.

W paczce znalazłem obraz Marca Chagalla „La Mariee” oprawiony w piękne złożone ramy. Zajmująca znaczną jego część tytułowa panna młoda ni to płynęła po powierzchni wody, ni to unosiła się w chmurach.

Jej czerwona sukienka i biały welon odcinały się od zimnego tła w ciemnoniebieskiej tonacji. Sylwetka pana młodego, czarno-szara i maleńka w porównaniu z dorodnymi kształtami kobiety, płynęła tuląc się do jej głowy. Z boku majaczyły drewniane domki, zaznaczone tylko czarną kreską, jakiś człowiek grający na flecie i kobieta z uniesioną ręką. Drogę nowożeńcom wskazywała ryba, trzymająca w przedziwnych odnóżach-rękach zapaloną świeczkę. U ich stóp przycupnął koziół ze skrzypkami.

Ja i Anna, a może raczej Anna i ja. Ona - wspaniała, na pierwszym planie i ja - smutny czarno-szary facet w tle.

Po południu spotkaliśmy się u Tony'ego, który skrzyknął nas do pomocy przy likwidacji knajpy. Kiedy zziajani usiedliśmy, by się uraczyć ostatnim piwem, opowiedziałem o rozmowie z Anną.

Notting Hill

- Co tym sądzicie? Dobrze postąpiłem?
- Dobrze; po tym wszystkim, co zrobiła, wiele straciła w moich oczach. Poza tym, kiedy byłam z nią w kłopot, zauważyłam, że ma cellulitis na udach i pośladkach. Wcale nie jest kimś wyjątkowym. - Honey pogardliwie wydeła usta.
- Dobrze postąpiłeś. Wszystkie aktorki są zwariowane i nieobliczalne - powiedziała Bella stanowczym tonem.
- Tony - wywołałem do odpowiedzi byłego restauratora - co myślisz?
- Nigdy z nią nie gadałem, nawiasem mówiąc, nigdy nie marzyłem, żeby ją poznać.
- Trzy zero dla mnie. Max?
- Jeszcze się pytasz? Wegetarianie zawsze wydawali mi się niegodni zaufania.
- Bomba. Dzięki.
- Wzywaliście mnie, więc jestem - zameldował od progu Spike.
- Rychło w czas. Już po robocie, siadaj. William właśnie odprawił z kwitkiem Annę Scott - oświeciła go moja siostra.
- Ty tępy fiucie! - wykrzyknął Spike.
- To oryginał? - spytała szybko Bella, wskazując na obraz, któremu przyglądała się od jakiegoś czasu.
- Tak sędzę - powiedziałem wdzięczny, że wybawiła mnie z kłopotu.

Richard Curtis

- Jeśli dobrze zrozumiałem - odezwał się Bernie - zaproponowała ci randkę, tak?

- Coś w tym rodzaju...

- Miło z jej strony - rozmarzył się, co mnie z lekka zaniepokoiło.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałem zimno.

- Tylko to, że... no wiesz... To miło, kiedy ktoś zaprasza cię na randkę. Może nie?

- Szczerze mówiąc, zrobiło mi się przyjemnie. Wiem, że jako aktorka potrafiłaby udawać, rzucić tu i tam jakieś okrągłe zdanko. Ale ona powiedziała, że aktorstwo i sława nie mają tu nic do rzeczy, że jest również kobietą, i ta kobieta stoi przed mężczyzną i prosi go, żeby ją kochał.

Powoli oswajali się z tą myślą. Popatrywali na siebie ukradkiem, jakby sprawdzali słuszność swoich podejrzeń. Miny mieli nietęgę.

- O, cholera... Spieprzyłem sprawę? Widzę po waszych twarzach! - Milczeli, tylko Spike głęboko skłonił głowę. - Max, twój samochód jest najszybszy, prawda?

W knajpie powstał straszliwy rejwach. Max ruszył pędem po samochód, reszta gorączkowo zbierała się wyjścia, pokrzykując na Tony'ego, żeby zamykał knajpę. Po chwili, która wydawała się wiekiem, auto z piskiem zahamowało przed wejściem.

Notting Hill

- Mamy niewielkie bombki atomowe na wypadek, gdyby ktoś wlaźł nam w drogę - bojowo pokrzykiwał Max.

- I zamierzamy ich użyć! - grzmiał Bernie.

- Gdzie Bella? - Max roztrącił naszą gromadkę.

- Ona nie jedzie - powiedziała Honey.

- Jedzie, jedzie. Bernie - do tyłu, Spike - do bagażnika. Reszta niech się pakuje, gdzie kto może - komenderował. - Chodź kochanie, pojedziesz jak królowa. - Porwał Bellę na ręce.

- Gdzie ty się pakujesz? - syknęła Bella do Maksa, kiedy pruliśmy pełnym gazem Stanley Crescent w stronę Notting Hill Gate.

- Pojadę Kensington Church Street, skrećę w lewo, a potem już prosto Knightsbridge do Hyde Park Corner.

- Po co? Skrećaj od razu w Bayswater...

- Ma rację - a stamtąd odbijesz w Park Lane - wtrąciła Honey.

- Albo jedź od razu do Cromwell Road i odbij w lewo - zaproponował Bernie.

- Ani mi się waź! - wrzasnałem, waląc brodą w zagłówki przednich foteli, bo w tym momencie Max gwałtownie zahamował.

- Zamknijcie się! I to już! Ja decyduję, którą jechać, zrozumiano!

- Zrozumiano - odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

- James Bond nigdy nie musiał zajmować się podobnymi bzdurami - powiedział Max, włączając się do ruchu.

Po chwili rzeczywiście wywinął numer w stylu Bonda. Przemknął w poprzek Picadilly, wzbudzając popłoch wśród kierowców, z wizgiem opon wjechał pod prąd w jednokierunkową uliczkę i zatrzymał się pod „Ritzem”. Pędziłem do hotelu, za mną cwałował Bernie, pokrzykując coś o wystrzałowej imprezie.

- Czy panna Scott zatrzymała się u państwa?
- wydyszałem do recepcjonisty.

- Nie, proszę pana.

Głos z telefonu, ucieszyłem się.

- A panna Flintstone?

- Przykro mi. - Rozłożył ręce, uśmiechając się zachęcająco.

- To może Bambi... albo - sam już nie wiem - Beavis lub Butthead?

- Nie, proszę pana. - Popatrzył na mnie zawieszony.

- Trudno. Dziękuję.

A więc klapa na całej linii. Bernie popchnął mnie w kierunku wyjścia.

- Ale w pokoju 126 zatrzymała się niejaka panna Pocahontas - stanęliśmy jak wryci i jednym susem dopadliśmy kontuaru. - Wymeldowała się godzinę temu - ciągnął recepcjonista cie-

plym barytonem - o ile mi wiadomo, przed odlotem do Ameryki będzie miała konferencję prasową w „Savoyu”.

- Odpalamy! - dziko wrzasnął Bernie, plosząc Japończyka, który czekał na swoją kolejkę.

Z radości ucałowałem recepcjonistę z dubeltówki, Bernie poprawił pojedynczym cmoknięciem. Japończyk odczekał kilka sekund, odłożył na bok aktówkę i złożył na czole recepcjonisty solidny pocałunek.

Euforia trwała bardzo krótko. Po kilkudziesięciu metrach stanęliśmy w korku - żeby się o tej porze dostać z Picadilly na Strand trzeba by mieć latający dywan lub śmigłowiec. Kiedy po kwadransie wciąż staliśmy w tym samym miejscu, w samochodzie zapanowała nerwowa atmosfera.

- A chrzanić ich wszystkich - stęknął Spike, gramoląc się z bagażnika po naszych głowach. Wyszedł na środek ulicy i gestem rasowego policjanta zatrzymał samochody jadące z przeciwnika.

- Dawaj, Max! Czadu! - krzyknął bojowo.

- Jesteś moim bohaterem! - darła się Honey, wystawiając głowę przez okno.

Po tym okrzyku Spike jakby się zatracił, w ostatniej chwili uskoczył spod maski rozpędzonego auta.

- Przepraszam, czy tutaj odbywa się konferencja prasowa? - Wymuskany recepcjonista natarczywie lustrował moją spoconą twarz.

- Ma pan akredytację? - spytał chłodno.

- Tak, proszę - machnąłem mu przed oczami kartonikiem.

- To jest, drogi panie, legitymacja członkowska wypożyczalni wideo „Blockbuster” - skonstatował z triumfem w oczach.

- Oczywiście. A słyszał pan o naszej gazecie „Filmy to nasza specjalność” - jestem jej przedstawicielem.

- Przykro mi, ale...

- On jest ze mną - usłyszałem głos Belli; Honey popychała wózek w kierunku recepcji.

- A pani kogo reprezentuje, jeśli mogę wiedzieć? - spytał z przesadną uprzejmością.

- Ja, drogi panie, piszę artykuł o tym, jak londyńskie hotele traktują ludzi na wózkach inwalidzkich - powiedziała spokojnie.

- Rozumiem, madame. Konferencja odbywa się w Sali Lancasterów. Pozwolę sobie zauważyć, że sporo się państwo spóźnili.

- Gazu, co tak stoisz! - popędziła mnie Honey.

Ogromna sala była wypełniona po brzegi. Takie tłumy dziennikarzy widywałem podczas telewizyjnych relacji z konferencji prasowych prezy-

dentów, a nie gwiazd filmowych. Najwidoczniej Anna nieczęsto spotykała się z mediami. Z trudem przedarłem się do pierwszego szeregu, stojącego tuż za krzesłami. Anna siedziała pośrodku długiego zastawionego mikrofonami stołu, między Karen i Jeremym, spokojnie obiegając wzrokiem las uniesionych do góry rąk - właśnie skończyła odpowiadać na pytanie.

- Dominie, bardzo proszę. - Jeremy wskazał dziennikarza w szarym garniturze.

- Nawijając do poprzedniego pytania, jak długo pozostaniesz w Wielkiej Brytanii?

- Bardzo krótko - dziś wieczorem wylatuję do Stanów.

- ...dlatego musimy już kończyć; ostatnie pytania - proszę, Jacqueline - wszedł jej w słowo Jeremy.

- Czy planowany roczny urlop ma coś wspólnego z pogłoskami o związku Jeffa z jego filmową partnerką?

- Żadnego - odparła krótko zdecydowanym tonem.

- Co o tym sądzisz; wierzysz tym plotkom? - naciskała Jacqueline.

- To nie jest kwestia wiary; mnie to już po prostu nie dotyczy. Choć z własnego doświadczenia wiem, że plotki o Jeffie... zwykle okazują się prawdziwe.

Odpowiedź się spodobała - wszyscy z zapalem notowali każde słowo. Jeremy odczekał chwilę, po czym wskazał dziennikarza w kamizelce, stojącego obok mnie.

- Podczas pani ostatniego pobytu w Londynie prasa opublikowała dość drastyczne zdjęcia pani i jakiegoś Anglika. Czy mogłaby pani wyjaśnić, co się wówczas stało?

- To mój znajomy, przyjaciel... W każdym razie mam nadzieję, że wciąż jest moim przyjacielem.

Kiedy to mówiła, moja ręka sama uniosła się w górę.

- Ostatnie pytanie. Proszę, pan w różowej koszuli. - Palec Jeremy'ego celował we mnie.

- Panno Scott, czy istnieje szansa, że ta osoba będzie dla pani czymś więcej niż przyjacielem? - sadząc po tym, jak drgnęła na dźwięk mojego głosu, Anna dopiero teraz mnie dostrzegła.

- Miałam taką nadzieję, jednak stało się inaczej - jestem pewna, że nie ma takiej możliwości.

- Co by pani powiedziała, gdyby...

- Przepraszam pana, musimy się trzymać zasady: po jednym pytaniu na osobę - przerwał mi Jeremy, rozglądając się po sali.

- Daj panu dokończyć - wtrąciła Anna - pan pytał...

Notting Hill

- Zastanawiam się, czy gdyby się okazało, że ta osoba...

- Nazywa się Thacker - usłużnie podpowiedział facet w kamizelce.

- Dziękuję. Zastanawiałem się, czy gdyby do pana Thackera wreszcie dotarło, że jest tępym fiutem, i gdyby na klęczkach błagał, żeby pani przemyślała sprawę... czy by pani przemyślała?

Tym razem ja, napięty jak struna, czekałem na werdykt. Z tyłu dobiegły mnie dopingujące posykiwania Berniego i Maxa. Po chwili zakotłowało się i obok mnie stanęła potargana Honey.

- Tak, na pewno bym przemyślała - odpowiedziała Anna ze spokojem.

- Rewelacja. Czytelnicy „Psa i konia” będą zachwyceni - z trudem powstrzymałem się od wycięcia siarczystych hołubców. Anna zasłoniła mikrofon i szepnęła coś do Jeremy'ego.

- Dominic, możesz powtórzyć swoje ostatnie pytanie? - Jeremy zbierał porozkładane na stole kartki.

- Jak długo zamierzasz zostać w Wielkiej Brytanii?

Sala wstrzymała oddech. Anna wpatrywała się we mnie, czekając na znak - skinąłem głową.

- Na zawsze. - Odchyliła się na oparcie krzesła.

Karen i Jeremy wypadli z roli: otworzyli usta ze zdumienia i przez dłuższą chwilę trwali w tej głupawej pozie.

Prasa natychmiast połapała się, w czym rzecz. Fotoreporterzy nie mogli się zdecydować, na kogo skierować obiektywy; błyskali fleszami, miotając się między mną a Anną. Honey zapalczywie walczyła o przejście dla Belli i Maksa, a Bernie z rozpędu całował jakąś dziennikarkę. Nagle tłum wokół mnie zafalował, jakby ktoś uderzył w ludzi taranem, i wyskoczył z niego zziębnięty Spike, wprost w objęcia Honey.

- Co się stało? - spytał, ciężko łapiąc powietrze.

- Wspaniale się stało! - wrzasnęła Honey i uwiesiła się jego szyi. Spike zrazu stał jak posąg, po czym porwał moją siostrę w objęcia.

Ze ślubem nie czekaliśmy długo. Ceremonia odbyła się na wolnym powietrzu - we wspaniale przystrojonych ogrodach Hempel Zen. W różowej krynolinie i wianku z żywych kwiatów Honey, pierwsza drużna, poprowadziła orszak sześciu panien - wszystkie w wieku poniżej pięciu lat. Max wystąpił w białym smokingu. Zrobił furorę, choć Bernie i Tony zdrowo z niego pokpiwali. Niezrażony docinkami, mój przyjaciel z godnością oświadczył, że pierwszy drużba TAKIEJ pary mu-

si być co najmniej tak elegancki, jak James Bond. Z Tony'ego nikt nie pokpiwał - wykonany przez niego tort weselny w kształcie fantastycznej budowli nagrodzono burzą oklasków.

Anna jaśniała urodą, jakiej przydaje kobietom nie gwiazdorstwo i sława, lecz zwykłe ludzkie szczęście. Podobno stanowiliśmy zachwycającą parę, choć mój wrodzony sceptycyzm nie pozwalał przyjmować tego bez zastrzeżeń. Jeśli to prawda, była to zasługa Anny, nie moja. Jestem daleki od fałszywej skromności, cóż jednak mam powiedzieć, skoro moja własna matka biegała za mną z grzebieniem, mając zapewne nadzieję, że za którymś razem niepostrzeżenie poprawi moją fryzurę.

A potem brałem udział w tym wszystkim, co dotychczas oglądałem w migawkach telewizyjnych - przedpremierowych galach, konferencjach prasowych i bankietach. Przyznaję, że bez zachwyty - cena miłości, jak mawia Max.

Na szczęście nie trwało to długo. Anna wkrótce wycofała się z aktorstwa; grywała sporadycznie, poświęcając większość czasu na kierowanie własną firmą producencką.

Większość czasu spędzamy w Londynie, choć pomieszkujemy również w Nowym Jorku. Często przychodzimy do naszego magicznego ogrodu. Usadowieni wygodnie na ławce June i Josepha,

Richard Curtis

patrzymy na grupę ćwiczącą tai-chi, napawamy się widokiem kwiatów i ciszą.

PS Nie jestem „mężem swojej żony” - Anna nosi podwójne nazwisko Scott-Thacker. Spodziewamy się dziecka. Będziemy żyli długo i szczęśliwie, już ja się o to postaram.

Posłowie

Przedstawiona poniżej scena jest dowodem na to, jak dziwne bywają koleje losu scenariusza. W pierwszej wersji Honey nie była siostrą Williama, lecz bliską znajomą, pracownicą sklepu z płytami, mieszczącego się naprzeciwko księgarni. Kiedy Anna zniknęła z życia Williama, zaczęli się ze sobą spotykać. Film miał opowiadać o wyborze młodego mężczyzny między niezamożną, sympatyczną dziewczyną w okularach a wielką gwiazdą Hollywoodu. Mężczyzna wybrał Honey. Po zmianie koncepcji nie miałem serca wyrzucić postaci Honey, toteż zmieniłem ją w siostrę Williama. W tej scenie Honey-dziewczyna naszego bohatera postanawia o niego zawalczyć.

Dylemat okazał się zbyt trudny, by rozwiązać go w czterech ścianach. Szare komórki domagały się większej przestrzeni i fizycznego wysiłku. Ba-

Richard Curtis

sen - postanowiłem - kilka długości ostrym sprintem powinno mnie odblokować.

Po trzydziestu byłem już prawie pewien, i kompletnie wykończony.

- Zrobiłeś kilka ładnych kilometrów - zagadnął nagi facet pod prysznicem.

- Miałem dużo do przemyślenia.

- Aha. - Zakręcił kurek i wyszedł do szatni.

- Cześć - usłyszałem głos Honey - myślałam o nas.

- Ja też. Poczekaj w holu. Zaraz do ciebie wyjdę, tylko się przebiorę.

- Nie chcę czekać; porozmawiajmy teraz.

- Ale kobietom nie wolno...

- Och, nie bądź taki skrupulant... Słuchaj - powiedziała, ścisząc głos - jakiś goły facet miota się przy szafkach, ręcznik mu spadł z tyłka... Nieważne... Will - w jej głosie była sama łagodność - musisz w końcu coś postanowić, choć wiem, że decyzja nie jest najłatwiejsza. Proszę cię tylko, nie oceniaj mnie według tego, kim jestem...

- Nikogo nie oceniam - wtrąciłem.

- ...tylko tego, kim chciałabym być. Myślisz - zwykła dziewczyna, sprzedawczyni ze sklepu z płytami, ale w głębi serca jestem wszystkimi dziewczynami z tych płyt - Barbarą Streisand Piaf, Chrissie Hynde i Janis Joplin, stukniętą Sinead, rozsądną Bonnie Raitt i głupiotką

Notting Hill

Cindy Lauper. Jestem Madonną i Ellą Fitzgerald. Jestem lepsza, niż mogłoby się wydawać. Jestem wszystkim, o czym marzę.

- Moja maleńka...

- I kocham cię, ale to już zupełnie inna sprawa. To wszystko. Cześć.

- Poczekaj na mnie, proszę cię. Za minutę będę gotowy.

- Nie. Zresztą, po co? Wszystko już wiesz. Czekam na twoją decyzję. A tobie - odwróciła się do faceta, który w międzyczasie zdążył założyć spodnie - jeśli cię to męczy lub ciekawi, powiem tylko, że tak, niestety, masz bardzo maleńkiego fiutka.

RICHARD CURTIS należy do czołówki brytyjskich scenarzystów komediowych. Ogromny sukces przyniosły mu scenariusze znanych polskim widzom seriali telewizyjnych pt. „Czarna żmija” i „Jaś Fasola”. Jego drugi film fabularny - pierwszym był „The Tall Guy” - „Cztery wesela i pogrzeb” został nominowany do nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej w dwóch kategoriach: za najlepszy film oraz najlepszy oryginalny scenariusz, a także miano najbardziej kasowego filmu w historii brytyjskiego kina. Następny film zrealizowany według scenariusza Curtisa - „Pan Fasola” - nie otrzymał żadnych nominacji do Oscara. Richard Curtis jest współzałożycielem i wiceprzewodniczącym ogromnie popularnej w Wielkiej Brytanii fundacji British Comic Relief, zajmującej się niesieniem pomocy krajom afrykańskim ze środków zgromadzonych przez twórców komediowych.